Rok II. Lwów, dnia 1 maja 1896. Nr. 9.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata w monarchii austro-węgierskiej wynosi rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Maurycego Mochnackiego (Garncarska), 12.

SZLACHTA GALICYJSKA.

Przed dziesięciu mniej więcej laty jakiś publicysta niemiecki nazwał Galicyę »ojczyzną szlachciców«, i od tego czasu przylgnęła do niej ta nazwa, często właściwie, a może częściej jeszcze — niewłaściwie stosowana. Porównywając bowiem Galicyę z innemi dzielnicami Polski np. z Królestwem kongresowem, widzimy, że szlachta, nawet w szerokiem znaczeniu klasy większych właścicieli ziemskich, jest w niej stosunkowo mniej liczną, ekonomicznie słabszą i nie posiada już tu takiej przewagi umysłowej, jaką ma w zaborze rosyjskim, gdzie ogromna większość inteligencyi z rodzin szlacheckich pochodzi. Natomiast społecznie — wskutek braku wielkiego przemysłu i zamożnego mieszczaństwa, a zwłaszcza politycznie szlachta w Galicyi jest klasą faktycznie uprzywilejowaną i do niej niemal wyłącznie należy przewodnictwo w sprawach publicznych. Nietylko ustawy zabezpieczają to przewodnictwo, ale potwierdza je również w znacznej mierze uznanie milczące innych grup i warstw społeczeństwa. Zobaczmy więc, czy to stanowisko naczelne odpowiada warunkom dzisiejszym, czy istniejący układ stosunków politycznych jest prawdziwym wyrazem rzeczywistej siły społecznej?

Nie zamierzamy bynajmniej roztrząsać zasadniczo stanowiska szlachty, czy też warstwy ziemiańskiej w społeczeństwie naszem, ani zwodzić harców polemicznych w tej sprawie. Pragniemy rzecz traktować chłodno i spokojnie, nie schodząc z gruntu stosunków istniejących, wiemy jednak, że przy poruszaniu sprawy tak drażliwej, tak żywotnej i współczesnej, nie podobna ustrzedz się zahaczenia o ludzi i wypadki bieżące, ani uniknąć posądzenia o stronność lub nawet zawziętość partyjną. Powtórzymy więc tylko za Machiavellim: *Io giudico che sia impossibile, senza offendere molti, discrivere le cose de' tempi suoi* — i przejdziemy do właściwego przedmiotu naszych wywodów.

Ale przedtem jedno jeszcze zastrzeżenie zrobić musimy. Nie należymy do tych, którzy sądzą lub z zasady głoszą, że gospodarka publiczna w Galicyi jest pod każdym względem złą i nieudolną, że kraj znajduje się w przededniu jakiejś katastrofy, ku której nieuchronnie staczać się będzie po równi pochyłej, jeżeli zmiana radykalna w stosunkach nie nastąpi. Nie trzeba nigdy, zdaniem naszem, zmiany pożądanej lub nawet koniecznej w ten sposób uzasadniać, ani budzić świadomości politycznej za pomocą strachów urojonych. Zbadanie i trzeźwa ocena znaczenia i siły czynników społecznych jest najpewniejszą podstawą świadomości i działalności praktycznej. Można powiedzieć, że w tym wypadku »siła idzie przed prawem«, bo dopiero poznanie i poczucie swej siły daje pobudkę do walki o prawa polityczne i stanowisko społeczne.

Słyszeliśmy już nieraz i nieraz jeszcze słyszeć będziemy zdanie, że samodzielny rozwój naszej indywidualności narodowej, nasza tradycya historyczna wytworzyły odmienne stosunki polityczne i społeczne, których nie można naginać do norm ogólnych, europejskich, które strzedz i troskliwie zachowywać należy, bo są one wyrazem naszej odrębności i kultury własnej. Jedną z właściwości znamiennych naszych stosunków narodowych ma być właśnie naturalne przewodnictwo warstwy szlacheckiej. Jest ono jakoby warunkiem koniecznym naszego samorządu społecznego, naszej polityki, naszej kultury umysłowej. Nie zawsze mówi się to tak wyraźnie, ale wszelkie rozprawy w tym przedmiocie można w sposób podobny streścić.

Jakkolwiek tego rodzaju zdania wygłaszają ludzie wielce poważni i nawet w nauce dziejów biegli, nie mają one jednak ani faktycznej, ani teoretycznej podstawy. Nasz rozwój dziejowy wykazuje nieraz, nawet w szczegółach, uderzające podobieństwo do rozwoju innych narodów i tylko wskutek anormalnych warunków politycznych został w ostatnim stuleciu opóźniony lub w pewnych dziedzinach życia wykolejony i powstrzymany. Nie powinniśmy wszakże w tych zboczeniach i uwstecznieniach, które okoliczności zewnętrzne wywołały lub utrwaliły, upatrywać znamion naszej odrębności narodowej. Jesteśmy narodem europejskim — jak to zresztą sami w innych wypadkach dobitnie zaznaczamy — i nie możemy się wyłamywać z pod praw rozwoju społecznego ludów cywilizowanych. Nie znamy wprawdzie jednego takiego prawa, obejmującego wszelkie objawy życia, wszelkie odmiany stosunków, ale mamy uogólnienia niewątpliwe i z nich wyprowadzone wskazania kategoryczne, które powinniśmy do siebie stosować. Odrębność narodowa wyraża się w formach, w odmiennej kombinacyi stosunków społecznych, ale nie w ich istocie i układzie zasadniczym. Przez to, przez co inne narody cywilizowane już przeszły lub przechodzą, i my przejść musimy, tylko każda zmiana społeczna może się odbyć w inny sposób, do warunków naszych zastosowany i inne przybrać kształty.

Przywilej polityczny i społeczny szlachty-ziemiaństwa wszędzie został zniesiony lub osłabiony. W niektórych krajach pozostały tylko zewnętrzne jego formy, w innych utrzymuje się jeszcze, a wszędzie i zawsze uzasadnieniem jego i podstawą były i są: 1) tradycya polityczna klasy rządzącej, 2) posiadanie ziemi i ważność związanych z niem interesów społecznych i ekonomicznych, 3) wyższa kultura. Po za temi uznawanemi powszechnie, innych podstaw przewodnictwo arysto-

kracyi i wogóle szlachty nie ma w społeczeństwach współczesnych.

W Anglii, uważanej, dziś zresztą nie bez zastrzeżeń, za kraj, w którym arystokracya stanowisko wyjątkowe zachowała, do niedawna jeszcze wszystkie te podstawy przywileju politycznego i społecznego uwydatniały się bardzo wyraźnie. Arystokracya i *gentry* angielska miała niewątpliwą tradycyę polityczną, utrwalaną i zarazem wciąż odświeżaną uczestnictwem w rządach państwa, w parlamencie i, co nie mniej jest ważne, gorliwym udziałem w sprawach wysoko rozwiniętego w tym kraju samorządu. Prawie całą własność ziemską trzymała i dziś nawet trzyma w swych ręku, a o jej kulturze umysłowej świadczą chlubnie nazwiska Byrona, Shelleya, Buckle'a, Macaulaya, Darwina i wielu, bardzo wielu znakomitych mężów. Dziś z tych podstaw została nienaruszoną tylko jedna — posiadanie ziemi, które jednak utraciło znaczenie w ogólnem gospodarstwie kraju wskutek olbrzymiego rozwoju przemysłu i handlu. Tradycya polityczna nie jest arystokracyi wyłączną własnością, bo inne klasy społeczne oddawna już ją, zwłaszcza w zakresie spraw parlamentarnych, posiadają, a kultura umysłowa szlachty angielskiej jest dziś stosunkowo niższą, w porównaniu z poziomem inteligencyi zamożnej części społeczeństwa, aniżeli była przed kilkudziesięciu laty. Równolegle do tego osłabienia podstaw, na których przewaga arystokracyi się opierała, widzimy szybki wzrost demokratyzacyi nietylko urządzeń politycznych i stosunków społecznych, ale nawet życia towarzyskiego w Anglii

Zbadajmy teraz podstawy, na których opiera się hegemonia szlachecka w Galicyi, oceńmy ich znaczenie i trwałość, żeby się przekonać czy ta rzekoma właściwość naszej kultury narodowej ma chociażby takie, jak w Anglii usprawiedliwienie, czy odpowiada warunkom realnym.

W pierwszym rzędzie do przewodniczenia narodowi rości sobie prawo u nas, jak i gdzieindziej arystokracya we właściwem, ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Nikt zapewne nie ośmieli się twierdzić, że dawne możnowładztwo polskie zostawiło w spadku potomkom swoim rozumną tradycyę polityczną, nietylko w pojmowaniu, ale nawet w prowadzeniu spraw publicznych. Sama arystokracya współczesna świadomie tej tradycyi się wypiera, chociaż w postępowaniu i działalności odzywa się nieraz odziedziczony nałóg samowoli magnackiej. Ale jeżeli nie ma tradycyi politycznej — ma jej surogaty: stanowisko i stosunki towarzyskie, przymioty, a raczej właściwości osobiste, potrzebne do sprawowania pewnych czynności, wreszcie niezależność materyalną i, powiedzmy nawet, kulturę umyłową, chociaż jest to rzecz bardzo wątpliwa. Ustrój polityczny Austryi zapewnia arystokracyi aż nadto hojnie uwzględnienie wszystkich jej roszczeń, mających jaki taki pozór słuszności, daje bowiem dziedziczne i dożywotnie krzesła w izbie panów, daje urzędy i tytuły dworskie, wysokie posady w dyplomacyi, stanowiska zaszczytne w administracyi krajów, przywileje w służbie wojskowej, rozmaite beneficya i godności kościelne i t. d. Ten zakres wpływów znacznie przewyższa istotną wartość społeczną arystokracyi i niewątpliwie poprzestałaby na nim, gdyby ustawy państwowe i warunki naszego życia zbiorowego, nie zapewniały jej, w sojuszu ze szlachtą, t. j. z klasą właścicieli ziemskich, przewagi politycznej, nie ułatwiały uchwycenia kierownictwa sprawą publiczną.

Szlachta polska ma istotnie tradycyę polityczną w znaczeniu tradycyi życia publicznego. Zachodzi jednak pytanie, czy t. zw. szlachta galicyjska może się wylegitymować z tego dziedzictwa? Przeglądając spis właścicieli ziemskich w Galicyi, spotykamy mnóstwo nazwisk cudzoziemskich albo takich, o jakich Paprocki i Niesiecki nie słyszeli. Potomkowie spolszczonych urzędników austryackich, Niemców, Czechów, Włochów, Rusinów i t. d. mogą być gorącymi patryotami, najlepszymi obywatelami kraju, ale nie mogą uważać się i podawać za spadkobierców tradycyi szlachty polskiej, za wykonawców jej myśli politycznej. To samo powiedzieć trzeba o właścicielach ziemskich pochodzenia mieszczańskiego, chociażby od kilku pokoleń szlachectwo posiadali, bo ta tradycya polityczna, o której mówimy, jest nabytkiem bardzo dawnym, a w ostatniem stuleciu nie wytwarzała się wcale, przeciwnie, powoli wyradzała się i zanikała. Warstwa naczelna w społeczeństwie w pełni rozkwitu swej działalności wchłania zawsze w siebie żywioły różnorodne, często obce, które przejmują się jej tradycyą, jej duchem, jej pojmowaniem obowiązków publicznych. Ale to przyswajanie może być tylko rezultatem wspólnej pracy obywatelskiej, pracy żywej, realnej i nigdy nie może przekraczać pewnych rozmiarów. Nie szlachta w Galicyi wchłonęła w siebie żywioły różnorodne, ale one raczej pochłonęły szlachtę polską, pozbawioną w dodatku w ciągu trwania tego procesu środków skutecznego oddziaływania na nie w duchu swych tradycyi historycznych.

Nomina sunt odiosa — więc, chociaż dla przykładu należałoby przytoczyć niektóre nazwiska prawodawców i polityków galicyjskich, żyjących lub umarłych, poprzestaniemy na uwagach ogólnych. Jeżeli wyłączymy nazwiska arystokratyczne, na palcach policzymy prawdziwie szlacheckie. Jakież to służby publiczne sprawiali, w jakich stawali potrzebach, jakie tradycye polityczne zostawili potomkom przodkowie wielu, bardzo wielu przedstawicieli dzisiejszej szlachty polskiej? Chyba w regestrach gospodarskich lub w księgach kupieckich odnajdzie ciekawy historyk ślady ich działalności, która nie miała zresztą nic wspólnego ze sprawą publiczną. Nie chcemy ubliżać nikomu, owszem, gotowi jesteśmy uznać zasługi i pracę pożyteczną wielu z tych ludzi zaznaczamy tylko, że w uzasadnieniu swych roszczeń do przewodzenia społeczeństwu nie wolno im powoływać się na tradycyę cudzą, z którą związku bezpośredniego nie mają.

Przy każdej sposobności słyszymy to odwoływanie się do tradycyi szlachecko-polskiej, bałamucące opinię, bo celem jego jest zwykle usprawiedliwienie dążeń wstecznych lub samolubnych. Trzeba więc stawiać sprawę wyraźnie i prostować zdania błędne, wykazywać fałsze, świadomie powtarzane. Szlachty polskiej w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu dziś już prawie niema, ogarnęła jej resztki i zajęła jej miejsce klasa właścicieli ziemskich i o tej klasie tylko mówić można i należy, jako o sile społecznej i politycznej. Rozprawianie o tradycyi politycznej szlacheckiej — wszystko jedno, w dodatniem czy w ujemnem jej znaczeniu — jest upędzaniem się za cieniem, który błąka się jeszcze po widowni działalności swej powłoki ziemskiej, ale należy już do świata umarłych nie zaś do świata żywych. Z rachunku realnych czynników społecznych pozycyę tę dawno jaż powinniśmy byli wykreślić.

O znaczeniu społecznem i ekonomicznem większej własności ziemskiej w Galicyi dają pojęcie jasne przytoczone niżej liczby i fakty. Z ogólnego obszaru gruntów przypada na własność większą, zapisaną w tabulach krajowych mniej niż 4,800.000 morgów, włościanie

posiadają 7,800.000 morgów, a rząd, fundacye kościelne i świeckie, gminy i t p. 730.000. W ręku właścicieli większych znajduje się więc tylko 36% ziemi. Taki stosunek nie upoważnia chyba do powoływania się naprzykład Anglii. Dodać trzeba, że własność ziemska jest wysoko obdłużona. Suma długów, zaciągniętych w instytucyach kredytowych austryackich, wynosiła przed dwoma laty 148 milionów złr. Od tego czasu z pewnością urosła, a doliczywszy do niej pożyczki w bankach zagranicznych, zapisy kaucyjne, posagowe i długi prywatne, otrzymamy co najmniej 200 milionów. Przyjmujemy ostatnią cyfrę, chociaż niektórzy liczą kilkadziesiąt milionów więcej. Ponieważ są znaczne obszary, należące do kilku rodzin arystokratycznych, nie obciążone wcale lub obciążone bardzo mało, obdłużenie zwyczajnej własności szlacheckiej jest stosunkowo wyższe, aniżeli cyfra przeciętna wykazuje i stanowi więcej niż połowę, może nawet $^2/_3$ jej wartości Wartość majątku i produkcyi własności większej w Galicyi wydaje się poważniejszą, niż jest istotnie, dlatego tylko, że nie przeciwstawia się jej przemysł wielki, w każdym jednak razie nie dorównywa ona wartości majątku i produkcyi ludności miejskiej lub ludności włościańskiej. Interesy materyalne, które przedstawia t. zw. szlachta, w rachunku sił ekonomicznych kraju nie odgrywają wcale roli głównej, któraby jej stanowisko naczelne zapewniała.

Jeżeli dążeniom do utrzymania się na tem stanowisku brakuje mocnej i trwałej podstawy ekonomicznej, to może doniosłość interesów społecznych i umysłowych, których wyrazicielką jest klasa większych właścicieli ziemskich, i obowiązków, które w ich zakresie spełnia, uświęca jej przewagę polityczną.

Wymownie określał w sejmie p. Dunajewski znaczenie w naszych stosunkach polskiego dworu szlacheckiego, który dla okolicy jest ogniskiem kultury wyższej, szkołą cnót obywatelskich. Przypuśćmy na chwilę, że tak jest rzeczywiście i sprobujmy obliczyć w przybliżeniu — ile mamy takich dworów. Z kilku tysięcy właścicieli tabularnych (w kuryi posiadłości większych jest uprawnionych do głosowania 2,157) wyłączyć trzeba Niemców i innych cudzoziemców, posiadających dobra w Galicyi tudzież 557 żydów. Do tych ostatnich dodajmy 718 żydów, dzierżawiących majątki chrześcijańskie. Wątpić należy czy te dwory, w których w liczbie 1275 siedzą żydzi, uważać można za przybytki oświaty narodowej, uczuć i myśli polskich. Niepodobna wyrachować, ilu wśród pozostałych znajdzie się ludzi, dla których sprawy publiczne są zupełnie obojętne, którzy ze względu na niski poziom umysłowy nie mogą się niemi zajmować. W każdym razie i takich sporo się znajdzie. Pozostanie więc niewiele ognisk tradycyi narodowej i cywilizacyi. W powiecie trembowelskim np. 75% obszaru własności tabularnej dzierżawią żydzi, w brzeżańskim 58%, w kolbuszowskim 56%. W powiatach bohorodczańskim, nadworniańskim i brodzkim dzierżaw jest mniej, ale wszystkie lub prawie wszystkie trzymają żydzi.

Wogóle dzierżawy zajmują w Galicyi 30% bezleśnej przestrzeni tabularnej, co jest objawem znamiennym pod względem ekonomicznym a bardziej jeszcze pod względem społecznym. Galicya nie zna dotychczas sądów pokoju, a kiedy je wprowadzić zamierzano, odzywały się głosy poważne, że jest to niemożliwem, bo w wielu okolicach niema odpowiednich kandydatów na sędziów. Ma się rozumieć, odpowiednich — znaczyło w danym wypadku właścicieli ziemskich. Gdzież jest ta szlachta polska, który jakoby ziemi pilnuje, obowiązki obywatelskie gorliwie wypełnia i ludowi przykładem świeci? Może, opuściwszy właściwe pole swej działalności, gorliwie sprawia służbę publiczną w urzędach państwowych i autonomicznych, pracuje w zawodach inteligentnych i na polu naukowem. Niewątpliwie, klasa ziemiańska dostarcza tym instytucyom i zawodom wielu pracowników użytecznych i wielu... synekurzystów, ale wśród księży, urzędników, lekarzy, adwokatów, inżynierów, a zwłaszcza księży, profesorów i nauczycieli nazwiska mieszczańskie i chłopskie, czasem na modłę szlachecką przerobione, są bardzo pospolite. Nawet w stronnictwie zachowawczem, w gwardyi stańczyków znaleźć można wielu synów mieszczańskich i chłopskich. Warstwa inteligentna w Galicyi nie jest demokratyczną z przekonania i temperamentu, ale w znacznej większości jest już dziś demokratyczną z pochodzenia. Niewątpliwie wielu ludzi wybitnych, więcej jeszcze zajmujących wybitne stanowiska pochodzi ze szlachty i z warstwy ziemiańskiej, lecz przeciwstawić im można co najmniej równą liczbę ludzi znanych i zasłużonych z mieszczaństwa i ludności wiejskiej.

Okazuje się więc, że warstwa społeczna, którą w braku odpowiedniego wyrazu i z przyzwyczajenia szlachtą nazywamy, nie ma już dziś warunków, któreby jej pretensye do zajmowania naczelnego w społeczeństwie stanowiska uprawniały. Utrzymuje się wszakże dzięki ustawom państwowym, które jej w dziedzinie politycznej zapewniły wpływ przeważny, nad miarę jej siły społecznej i ważności interesów klasowych. W sojuszu z arystokracyą rodową zajęła wybitne i wpływowe stanowiska w urzędach państwowych i autonomicznych i w gruncie rzeczy jest więcej biurokracyą, aniżeli ziemiaństwem, chociaż posiada właściwe temu ostatniemu interesy klasowe. To nam tłómaczy, dlaczego Galicya nie ma rzeczywistego samorządu, dlaczego t. zw. instytucye autonomiczne są poprostu urzędami, których różnicę od urzędów państwowych stanowi tylko zależność od władzy krajowej i wyjaśnia na pozór dziwny fakt, że Koło polskie w Wiedniu zgadzało się nieraz na zarządzenia szkodliwe dla rolnictwa, a nawet dla interesów ekonomicznych większej własności ziemskiej, ale zawsze gorliwie broniło interesów specyalnych tej hierarchii społecznej, której przedstawiciele mają w niem większość znaczną.

Biurokracya może rządzić krajem i wywierać na sprawy publiczne wpływ rozstrzygający, nigdy jednak nie może być przedstawicielstwem interesów narodowych. Dziś szlachta galicyjska, przybierając charakter urzędniczy, umacnia swoje stanowisko polityczne, ale jednocześnie podkopuje swoje stanowisko społeczne.

Szlachta, w znaczeniu właścicieli ziemskich ma ograniczony wprawdzie, lecz niewątpliwie uprawniony w stosunkach dzisiejszych zakres zwoich interesów klasowych, a więc należy się jej słusznie odpowiedni udział w kierowaniu sprawami publicznemi i w przedstawicielstwie kraju. Ale jej dążenia i uroszczenia wybiegają daleko po za te granice, ogarniają całość interesów społecznych i narodowych i usiłują stłumić je lub skierować do swych celów wyłącznych. Polityka arystokratyczno-szlachecka w różnych odcieniach, o której zasadach w dobrej wierze nieraz rozprawiamy, jest zazwyczaj poziomem samolubstwem klasowem lub nawet koteryjnem, które dla przyzwoitości stroi się w doktrynę, wymyśloną dla osłonięcia jego nagości. Klasa, którą rozwój dziejowy na czoło społeczeństwa wysuwa, nie ukrywa samolubstwa swego i jeżeli jest ono objawem natural-

*

nym zdrowia, siły i wiary w siebie, przemocą lub urokiem potęgi podbija i prowadzi ogół narodu i nieraz w wyłączności swojej stwarza rzeczy wielkie. Ta wszakże klasa, o której mówimy, i u nas, i wszędzie dawno już przeżyła okres energii młodzieńczej i dziś nachyla się do upadku, rozkłada się i słabnie. Jej dążenia, ideały i interesy stać muszą w sprzeczności z dążeniami, ideałami i interesami ogółu, a zwłaszcza tej części jego, która dopiero żyć świadomie i czynnie zaczyna. Dobrowolne ustąpienie ze stanowiska, wyrzeczenie się zdobytych praw i przywilejów społecznych byłoby samobójstwem politycznem, a więc objawem poniekąd anormalnym. Ale zrozumienie swego położenia i zmian nieuniknionych w stosunku wzajemnym sił społecznych byłoby natomiast dowodem roztropnej przezorności, która wiekowi podeszłemu przystoi. Szlachta galicyjska, pozornie odświeżona dopływem różnorodnych żywiołów, nie chce zrozumieć, że pomimo to ustrój jej polityczny i społeczny pozostał starym, chociaż sama ciągle wiek jego przypomina, nie chce przekształcić się odpowiednio do zakresu swej właściwej działalności i usiłuje utrzymać stosunki, które się przeżyły, a nawet odtworzyć dawno pogrzebane, nadając im tylko współczesne piętno biurokratyczne lub kapitalistyczne.

Nazywa się ta robota dalszym ciągiem tradycyi narodowej i szlacheckiej, chociaż prowadzi ją klasa społeczna, której polskośc i szlacheckość bardzo jest rozcieńczoną. Lekkomyślnie »stąpają po prochu, który niegdyś żył«, i pełną garścią zasypują nim oczy swoim i obcym, żeby nie przypatrywali się zblizka tajemnicom polityki galicyjskiej.

GIMNAZYA W POZNAŃSKIEM.

Niedawno z powodu artykułu *Koelnische Volkszeitung*, wykazującego systematyczne gwałcenie przez rząd pruski zasady równouprawnienia wyznaniowego w szkołach dzielnicy wielkopolskiej, podał *Dziennik poznański* ciekawe zestawienie liczb i szczegółowych wiadomości o gimnazyach tamtejszych. Opierając się przeważnie na tej pracy, spróbujemy przedstawić czytelnikom stan szkół średnich w Poznańskiem, na które prasa mniej zwraca uwagi, aniżeli na szkoły ludowe.

Na wstępie zaznaczyć trzeba, że według danych statystyki urzędowej katolicy stanowią 66, 4%, protestanci 30, 9% a żydzi 2, 6% ludności t. zw. prowincyi poznańskiej. Ludność Księstwa w chwili ostatniego spisu (grudzień r. 1895) wynosiła 1.828.120 osób.

Stosunek liczby gimnazyów do liczby mieszkańców jest dwa razy korzystniejszy, niż w Galicyi, trzy razy niż w Królestwie, a sześć razy niż na Litwie i Rusi Istnieje bowiem w Poznańskiem 14 gimnazyów państwowych i jedno progimnazyum oraz gimnazyum miejskie*) czyli jedna szkoła średnia ogólna przypada tam na 114.000 mieszkańców, gdy w Galicyi na 230.000, w Królestwie na 330.000, na Litwie na 700.000. Stosunek liczby uczniów do ogółu ludności jest również lepszy; jeden uczeń gimnazyalny przypada na 390 mieszkańców, w Galicyi na 500, w Królestwie na 1.100 na Litwie — na 3.000 mieszkańców.

Ale inaczej przedstawi się nam ten stosunek, jeżeli uwzględnimy różnice wyznaniowe i narodowościowe.

*) Właściwie szkół średnich, nie licząc realnych, jest zdaje się więcej, ale nie o wszystkich znaleźliśmy dane.

Z 16 gimnazyów tylko 3 były katolickie, zaś 5 protestanckich i 8 t. zw. symultannych; nauczycieli katolików, a tymbardziej Polaków jest znacznie mniej, niż być powinno, a uczniów katolików znacznie mniej, niż wypada w stosunku do ludności tego wyznania.

Podajemy tu wykaz szczegółowy liczby uczniów

	Katolików:	Ewangelików:	Żydów:
Gimn. Maryi Magdaleny (Poznań)	415	118	44
Gimn. Fryderyka Wilhelma (Poznań)	42	293	191
Gimn. w Krotoszynie	104	167	36
» w Śremie	80	40	26
» w Inowrocławiu	96	120	46
» we Wschowie	76	105	19
» w Bydgoszczy	61	446	37
» w Wągrowcu	140	51	23
» w Lesznie	84	133	45
» w Gnieznie	112	147	46
» w Międzyrzecu	40	117	21
» w Ostrowie	183	95	46
» w Rogożnie	55	75	29
Prog. w Trzemesznie	83	23	10
Miejs. gimn. w Kępnie	28	35	40

Do wyżej podanych liczb dodać trzeba uczniów wspólnej dla obu gimnazyów w Poznaniu szkoły przygotowawczej: 35 katolików, 46 ewangelików i 41 żydów, tudzież uczniów takiejże szkoły we Wschowie: 9 katolików, 15 ewangelików i 2 żydów, i 10 dyssydentów w gimnazyum inowrocławskiem. Z ogólnej liczby 4382 uczniów w wymienionych gimnazyach jest 1643 katolików, 702 żydów i 2026 ewagelików, czyli 37,5% 16% i z górą 52%.

Do rachunku nie wciągnęliśmy gimnazyum w Nakle, w którem było 196 uczniów i szkoły przygotowawczej w Bydgoszczy — 88 uczniów, przypuścić jednak można, że stosunek jest w tych szkołach ten sam, a gdyby nawet był inny, to rezultatów ogólnych nie zmienia.

Widzimy więc, że liczba uczniów katolików nie odpowiada stosunkowi procentowemu ludności tego wyznania, jest prawie dwa razy mniejsza, niż być powinna. Ludność Księstwa składa się, w okrągłych liczbach z 1,233.000 katolików, 565.000 ewangelików i 30.000 żydów. Jeden uczeń katolik przypada na 705 osób tegoż wyznania, jeden ewangelik na 262, a jeden żyd na 40 osób. Dodać trzeba, że około 10—12% katolików należy do narodowości niemieckiej a resztę stanowią Polacy i że mieszka w Poznańskiem kilkanaście tysięcy Polaków protestantów.

Tylko w gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, oraz w gimnazyach w Śremie, Wągrowcu, Ostrowie i w progimnazyum w Trzemesznie uczniowie katolicy stanowią większość. Przyczyny tego smutnego faktu są zupełnie jasne. Niemcy (i żydzi, którzy pod względem narodowym za Niemców się uważają) są zamożniejsi, niż Polacy. Wszyscy niemal urzędnicy w Poznańskiem są Niemcami, a ich dzieci właśnie przeważnie do gimnazyów uczęszczają i korzystają z rozmaitych przywilejów i ułatwień. Pomiędzy uwalnianymi od opłaty i pobierającymi stypendya rządowe ewangelicy stanowią ogromną większość. Wreszcie uczniowie Niemcy w gimnazyach i po ukończeniu szkół średnich — na uniwersytetach pobierają hojnie udzielane zasiłki z funduszów, umyślnie na ten cel wyznaczonych Tymczasem uczniowie Polacy muszą poprzestawać na własnych funduszach i na skromnych zapomogach Towarzystwa pomocy naukowej. Nawet z funduszu antypolskiego,

którym rozporządza komisya kolonizacyjna, otrzymują uczniowie niemieccy wsparcia; we Wschowie np. 10 pobierało zasiłki z tego źródła, w Bydgoszczy 16, w gimnazyum Maryi Magdaleny 15 i t. d. Równie ważną, a może nawet ważniejszą od wymienionych przyczyną nielicznego stosunkowo uczęszczania Polaków do gimnazyów jest panujący system szkolny. Zauważono w szkołach miejskich, że w niższych klasach procent dzieci polskich jest większy, aniżeli w wyższych, to samo dostrzedz można w gimnazyach. Dzieci, zmuszone uczyć się po niemiecku wszystkich przedmiotów, pracować muszą podwójnie i nieraz nie mogą podołać nadmiernym trudnościom. Widzą to przeciążenie dzieci polskich nawet pedagodzy niemieccy, ale jak np. p. Schroer, dyrektor gimnazyum Maryi Magdaleny, tłómaczą je tem, że »uczniowie polscy, mianowicie klas wyższych, bardzo wiele czasu poświęcają na prywatną naukę historyi i literatury polskiej«. Istotnie uczniowie gorliwsi muszą w domu uzupełniać naukę języka polskiego i historyi, bo w szkole niewiele wiadomości zdobyć mogą. Nie ci jednak najbardziej przeciążeni są pracą, ale ci, którzy niedostatecznie znają język niemiecki, w którym wszystkich przedmiotów uczyć się muszą.

Stosunki polityczne zniechęcają młodzież polską do studyów wyższych, bo karyera urzędnicza i nauczycielska jest dla niej niedostępną lub bardzo utrudnioną, a t. zw. zawody liberalne mają nadmiar pracowników. Często więc zdarza się, że uczniowie Polacy po ukończeniu kilku klas opuszczają szkołę i biorą się do zawodów praktycznych.

Nauka języka polskiego nie jest obowiązkową i w niektórych tylko gimnazyach przeznaczono na nią dwie godziny tygodniowo w każdej klasie. W innych na te lekcye wypada 8 godzin (jak np. w Inowrocławiu) lub nawet po 6 godzin tygodniowo (np. w Lesznie i Krotoszynie) Zwykle łączą po dwie klasy, a w dwóch najwyższych znoszą zupełnie naukę języka polskiego. Nie wiemy również w jaki sposób może być język polski wykładany w gimnazyach, w których niema ani jednego nauczyciela Polaka, n. p. w Ostrowie, gdzie uczniowie katolicy stanowią większość.

Naturalnie nauka języka polskiego w gimnazyach wielkopolskich stoi bardzo nizko, o literaturze uczniowie nie słyszą wcale, gramatykę kończą już w »kwarcie« (trzecia klasa w Królestwie i Galicyi). W wyższych klasach piszą wypracowania, czytają z lichego podręcznika Molińskiego, opowiadają, co przeczytali, i uczą się na pamięć wierszy. Naturalnie taką naukę pilniejsi muszą uzupełniać w domu. Przy niektórych tylko gimnazyach są biblioteki polskie, zresztą zaniedbane i nieuzupełnione.

Nauczyciele Polacy zostali już w niewielkiej liczbie, a nowych rząd nie mianuje wcale, nawet kandydaci nie są dopuszczani do praktyki w gimnazyach miejscowych, muszą ją odbywać w Niemczech. Etatowych nauczycieli było w Poznańskiem 149, w tej liczbie 19 tylko Polaków. Najmłodszy z nich liczy 37 rok życia, większość 50 nawet lat. Gorzej jeszcze przedstawiają się stosunki szkolne w innych prowincyach z ludnością polską, ale nie znaleźliśmy danych ogólnych, przytaczamy więc tylko niektóre szczegóły o nauczycielach.

W Prusiech Zachodnich ze 158 nauczycieli etatowych jest Polaków 9, na Śląsku z 340—11, w Prusiech Wschodnich ze 155—3. Nauczycieli pomocniczych jest w Poznańskiem 54, kandydatów 4, między nimi niema ani jednego Polaka, to samo w Prusiech Zachodnich i Wschodnich.

System szkolny niemiecki w prowincyach polskich podobny jest zupełnie do systemu rosyjskiego w Królestwie. Nauka języka polskiego nie jest obowiązkową i znajduje się na bardzo niskim poziomie. Nauczyciele Niemcy może nie tak bezwzględnie i nie tak niedorzecznie gnębią polskość, jak ich naśladowcy rosyjscy, ale zato z pewnością ściślej stosują wszystkie jej ograniczenia. Przewaga zaś uczniów wyznania ewangelickiego i narodowości niemieckiej wywiera drogą naturalną ten sam skutek, jaki pedagodzy rosyjscy starają sie osiągnąć za pomocą zakazów i nakazów przymusowych.

Nawet w zagrabieniu funduszów i zapisów szkolnych, a następnie w zarządzaniu nimi znaleść można podobieństwo zupełne. W Poznańskiem cały niemal prowincyonalny fundusz szkolny i przeznaczony na cele szkolne t. zw. fundusz sekularyzacyjny pochodzą z zapisów katolickich. W r. 1815 były w Księstwie trzy gimnazya i dwa progimnazya wyłącznie katolickie i alumnat w Trzemesznie. Od tego czasu rząd pozakładał gimnazya protestanckie i mieszane i uposażał je kapitałami, odebranymi samowolnie szkołom katolickim. Gimnazyum ewangelickie Fryderyka Wilhelma w Poznaniu otrzymało np. połowę funduszów, stanowiących własność gimnazyum katolickiego Maryi Magdaleny.

Nil.

MŁODZIEŻ POLSKA W ZABORZE ROSYJSKIM.

IX.

Dekadentyzm socyalistyczny. Rozmowa ze studentem. Niemoc moralna. Lenistwo umysłowe. Pseudo-humanitaryzm. Radykalizm zasad, jako instytucya ochronna. Dobre chęci.

Rozmawiałem niedawno z jednym z przedstawicieli naszej młodzieży uniwersyteckiej. Był to człowiek, przewyższający wielu swych rówieśników wyrobieniem moralnem, wyróżniający się inteligencyą i wykształceniem, a stąd otoczony przez towarzyszy pewnem uznaniem. W rozmowie z nim krytykowałem naszą młodzież, wskazując między innemi na fakt, że nie dostarcza ona obecnie ludzi wybitnych na żadnem polu pracy, że ją niedość interesuje literatura, nauka i t. d. W odpowiedzi na te zarzuty usłyszałem, że dzisiejsza młodzież ma ważniejszą rzecz przed sobą, niż literatura lub nauka, że ją przedewszystkiem zajmuje sprawa emancypacyi klas pracujących, że dziś kwestya robotnicza na pierwszym stoi planie.

— Bardzo dobrze — wtrąciłem — ale zarówno pan, jak ogromna większość pańskich towarzyszy, nic dla tych klas pracujących nie robicie, kwestyę robotniczą traktujecie platonicznie i uznawanie jej, jakby się zdawało, służy wam do tego tylko, żeby żadnych innych nie uznawać.

— Klasy pracujące — odrzekł mój znajomy — o tyle już dziś są rozwinięte, że nie potrzebują opiekunów z inteligencyi, same się organizują do walki i same tę walkę prowadzą. Zbytnie wtrącanie się inteligencyi do tej roboty prowadzi tylko do narzucania swego wpływu, do pozbawienia robotników samodzielności.

Próbowałem nieszczęśliwemu wytłómaczyć, iż znajduje się w swojego rodzaju błędnem kole, że ludzie podobnie myślący dopuszczają się niejako samobójstwa, wyrzekają się bowiem pracy na polach, przeznaczonych dla warstw przodujących społeczeństwu pod względem umysłowym, wyrzekają się jej w imię wyciąga-

nej na pierwszy plan kwestyi robotniczej, a dla tej kwestji nic nie robią, pozostawiając jej posuwanie naprzód samym robotnikom, czyli, jednem słowem, dobrowolnie się skazują na całkiem bierną rolę społeczną.

Tłómaczenie to na nic się nie zdało. Znajomy mój nieświadomie manewrował najśmieszniejszymi sofizmatami, wyrzucał z siebie masę najpospolitszych ogólników, ale w żaden sposób nie dał się zmusić do przyznania mi słuszności. Miałem do czynienia z socyalistycznym dekadentem.

Młodzieniec ten i cały legion jemu podobnych są najlepszym dowodem, iż niemoc moralna może się uzewnętrzniać we wszelkich postaciach i niema takiej szaty, w którąby się ubrać nie mogła. Zdawałoby się, iż pojęcia socyalizmu i dekadentyzmu są tak dalekie od siebie, tak sprzeczne ze sobą, iż żadną miarą zlać ich w jednę całość nie można. Tymczasem okazuje się, iż organizacye słabe, mające instynktowne, nieuświadomione poczucie swej bezpłodności psychicznej, znalazłszy się w warunkach czasu i miejsca, w których, jak u naszej młodzieży obecnie, rozwój ideowy w pewnym kierunku jest rzeczą niejako dobrego tonu, umieją, ubrawszy się w hasła, rzucone przez ludzi czynu, żyć całkiem biernie i tę bierność sobie jeszcze uzasadniać.

Istotnie, gdy socyalizm w pojęciu jego zwolenników na całym świecie jest jednoznaczny z namiętnym udziałem w życiu społecznem, gdy w oczach przeciwników jest nieustającą groźbą gwałtownego czynu, gdy pionierowie jego u nas przed dziesięciu jeszcze laty szli z niezachwianą wiarą w swe ideały do katorgi i na szubienicę, gdy dzisiaj liczne jednostki z inteligencyi, a zwłaszcza ze sfery robotniczej prowadzą energiczną propagandę jego zasad bez względu na prześladowanie ze strony rządu, — cały zastęp współczesnych dekadentów socyalistycznych używa swych niby rewolucyjnych zasad dla osłonięcia swej bierności, swej obojętności na wiele spraw ogółu, na najbardziej palące kwestye jego bytu, na jego bole i troski. Gdy ziemia pali się pod stopami od tysiąca nierozwiązanych zagadnień, niezaspokojonych potrzeb społecznych, oni ze spokojem mędrców talmudycznych przeżuwają kwestyę robotniczą i podciągając pod nią rozmaite rzeczy, które życie przemocą pcha w ich instynktownie przymykające się oczy, dochodzą często do niesłychanych absurdów. Jest to zjawisko smutne, ale poniekąd konieczne. Konieczność ta tkwi w usposobieniu, w ustroju umysłowym, wypływa z wychowania domowego, systemu szkolnego i t. d. By ten pogląd bliżej wyjaśnić i choć w części uzasadnić, zwrócimy uwagę na niektóre składniki socyalistycznego dekadentyzmu.

Jednym z bardzo znamiennych jego rysów jest umysłowe lenistwo i brak zdolności do samodzielnego rozumowania. Źródła tego zjawiska szukać należy przedewszystkiem w systemie szkoły rosyjskiej, która z jednej strony zabija siły ucznia, odbiera mu zdolność do bardziej natężonej pracy, z drugiej zaś, prześladując systematycznie wszelką samodzielność umysłową, wdraża ostatecznie umysły w jarzmo i doprowadza do zaniku nawet świadomość tej zależności umysłowej. Czy można się dziwić biedakowi, który przez szereg lat musiał wszelkie kwestye historyczne rozstrzygać według Iłowajskiego lub Rożdiestwienskiego, a literackie według Gałachowa lub Stojunina, któremu każde wyłamanie się z pod tych autorytetów groziło ciężką karą albo nawet zwichnięciem całej karyery życiowej, czy można mu się dziwić, jeżeli tak się wdrożył w manewrowanie cudzemi myślami, że dziś powtarza całe frazesy z Engelsa lub Kautsky'ego bez świadomości, że jest katarynką? Czy można się dziwić takiej ofierze niedołężnego wychowania domowego i barbarzyńskiej pedagogii moskiewskiej, jeżeli jest umysłowo znużona, boi się większej pracy, jeżeli na widok grubego tomu ręce jej opadają, skutkiem czego musi czerpać swą »wiedzę« z broszur, i po przeżuciu paru łutów zadrukowanego papieru, po przeczytaniu paru świstków mówi o »naukowem« traktowaniu kwestyi społecznej, o »naukowym« socyalizmie i t. d. Sam słyszałem wcale inteligentnego chłopca, mówiącego: »tacy uczeni, jak Liebknecht i Bebel...«

Kto widział kiedykolwiek socyalistycznego dekadenta, ten musiał zauważyć, iż wybitną właściwością tego typu jest — humanitaryzm, a właściwie pewna specyalna odmiana humanitaryzmu, mająca wszystkie rysy psychicznego zboczenia. Analizie tego zjawiska możnaby cały tom poświęcić — tyle się na nie składa czynników, w tylu występuje ono postaciach. Tu na taką analizę nie mam miejsca, z konieczności więc muszę rzecz traktować bardzo pobieżnie. Zacznę od przykładu drobnego, ale karykaturalnego, co do którego sambym nigdy nie uwierzył, iż jest wzięty z życia, gdybym nie znał świadków faktu.

Było to przed paru laty. Jeden ze studentów warszawskich, wezwany do cyrkułu policyjnego, nie chciał z komisarzem rozmawiać po rosyjsku, zwracając uwagę, iż nie ma w tym względzie żadnego obowiązku, że, przeciwnie, ma prawo, jak każdy obywatel, mówić po polsku. Nawiasem mówiąc, sprawa ta oparła się aż o jenerał-gubernatora, na którego żądanie rektor uniwersytetu dał studentowi *„wygowor“* (naganę). Dotąd wszystko w porządku. Najbardziej atoli interesująca strona faktu leży w tem, że komisarz policyi oraz rektor nie byli jedynymi, co zganili postępek studenta. Wkrótce na zebraniu jednego z kółek uniwersyteckich naradzano się, czy nie przyjąć owego studenta do swego grona. Propozycya upadła wobec szeregu najśmieszniejszych zarzutów przeciw jego osobie. Między innemi jeden z obecnych zarzucił, że kandydat jest osobistością »niehumanitarną«, że jest »szowinistą«, bo nie chciał z komisarzem policyi, Rosyaninem, mówić w jego ojczystym języku. Fakt ten, pomimo swego nieprawdopodobieństwa jest prawdziwym; student, który z tym zarzutem wystąpił, nie wyleciał wcale za drzwi, ale poważnie był słuchany, choć ogół zebranych zarzutu nie podzielał. I czy uwierzysz czytelniku, że ten idyota był bardzo popularny i długo jeszcze potem rej śród kolegów wodził?...

Niewątpliwie, fakt to odosobniony, ale tak mało odbiegający od ogólnego sposobu myślenia pewnej części młodzieży, iż nie został uznany za *curiosum*, z drugiej też strony, niema wątpliwości, iż możliwy przed paru laty, dziś już pewnie byłby niemożliwy — główne atoli jego rysy, choć w mniej karykaturalnej postaci, są bardzo rozpowszechnione i znamionują właśnie humanitaryzm socyalistycznych dekadentów.

Na zjawisko to złożył się cały szereg najróżnorodniejszych czynników. Wskażemy na ważniejsze tylko.

Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na odziedziczoną łagodność charakteru, którą potęguje słaby stan ustroju fizycznego, na przerafinowanie uczuciowe, wzrastające u nas w ostatnim wieku z pokolenia na pokolenie i prowadzące z konieczności do osłabienia czynnych rysów charakteru. Dalej mamy wychowanie domowe, pozostające prawie wyłącznie pod wpływem kobiety, której humanitaryzm różni się właśnie od

uczuć ludzkich mężczyzny swym charakterem biernym. Mania wychowywania grzecznych dzieci, nie swawolących, nie robiących nic złego, zdolnych tylko płakać i skarżyć się, gdy je krzywda spotka, nie umiejących wybić rówieśnika, gdy ten co spsoci — dała nam już całe pokolenia niedołęgów, pozbawionych poczucia godności własnej i zdolności radzenia sobie w życiu, nie umiejących w najważniejszych chwilach zachowywać się tak, jak przystoi człowiekowi, świadomemu swych praw i interesów.

Po tego rodzaju wychowaniu domowem przychodzi ze swym wpływem szkoła rosyjska, przychodzi nauczyciel rosyjski, nieokrzesany barbarzyńca, przemawiający najordynarniejszym językiem, nie starający się i nie umiejący nawet poszanować godności ludzkiej w uczniu. Chłopiec, chowany w domu nader łagodnie i delikatnie, odczuwa najdrobniejsze różnice w postępowaniu nauczyciela i lżony na każdym kroku cierpi niesłychanie, dopóki wrażliwość jego się nie przytępi, z drugiej zaś strony, przyzwyczajony nie reagować czynnie na krzywdy i obelgi, znosi codzień policzki w pokorze — zresztą, o ile ich nie znosi, wydalają go z gimnazyum. Czyż to nie znakomita szkoła humanitaryzmu?... Bierze się policzki, przyjmuje się je spokojnie, z początku młodociany duch buntuje się wewnątrz, hamując zewnętrzne przejawy, potem następuje otrzaskanie, surowy wzrok nauczyciela, jego obelgi i kopnięcia stają się niezbędną dekoracyą powszedniego życia. Czasami zdarza się, że nauczyciel, bądź po paru kieliszkach, bądź po otrzymaniu nowej »*pribawki*« do pensyi, wpada w dobry humor, na chwilę przestaje lżyć, a nawet coś wesołego opowiada, wtedy oblicze ucznia, słabego, biernego stworzonka także się rozjaśnia, uśmiecha się on, jakby mu się po długiej niepogodzie słońce z za chmur ukazało. Tresowany przez dziesięć lat w takiej szkole młodzieniec musi z niej wyjść humanitarnym, musi go razić wszelki »szowinizm«, reagujący na obrazę godności narodowej lub pogwałcenie narodowych interesów, musi go cieszyć niewymownie, gdy ujrzy cień łaski lub względności na obliczu pana-Rosyanina, musi go w zachwyt wprowadzać jeden jego przypadkowy sąd sprawiedliwy.

Czem np. wytłómaczyć, że przeciętnemu młodzieńcowi dzisiejszego pokolenia, nawet z kategoryi młodzieży, uważającej siebie za bardzo patryotyczną, więcej radości sprawia widok jednego „*dobriaka*“ Moskala, niż dziesięciu najuczciwszych, najszlachetniejszych Polaków? Tem nadewszystko, że natura bierna, bojąca się czynnej reakcyi, cieszy się, gdy może stwierdzić coś, co przemawia na korzyść wroga, bo to zmniejsza obowiązek reagowania.

Zresztą, tego rodzaju humanitaryzm widzimy nietylko u młodzieży. Często stwierdzamy go w starszych pokoleniach, które także miały swych nauczycieli, nie w szkole wprawdzie, nauczycieli surowych, poczynając od Murawjewów, a kończąc na Hurkach. Tam także bierna wrażliwość chętnie szuka, coby się dało na pochwałę braci-Słowian powiedzieć i, jako nową pobudkę do ugodowych łamańców, zużytkować.

Na pseudo-humanitaryzm, stanowiący najwybitniejsze bodaj znamię tej kategoryi młodzieży, którą ochrzciłem mianem socyalistycznych dekadentów patrzą niektórzy, jako na przyczynę jej niedołęstwa i jałowości, tymczasem, przeciwnie, jest on właściwie skutkiem niedołęstwa, którego źródeł szukać należy w dziedzicznych znamionach organizacyi i w całym systemie wychowania.

Gdy kto nie może być radykalnym w czynie, częstokroć zapędza się daleko w radykalizmie zasad, ażeby ostatnim przykryć swą nicość. Skrajny radykalizm zasad ma swe źródło częstokroć w instynkcie samozachowawczym, przy pewnym bowiem stopniu radykalizmu żadna praktyczna działalność, jako kalająca czystość teoryi, nie jest możliwa, i wtedy »z zasady« zachowuje się bierność, zajmuje się »stanowisko obserwacyjne«. Takie właśnie pochodzenie ma radykalizm większości socyalistycznych dekadentów. Nie jest to wcale umyślne faryzeuszostwo, ale obłuda nieświadoma całkiem, właściwa ludziom lekkomyślnym, nie mającym wrodzonego i wyrobionego poczucia odpowiedzialności za wygłaszane zasady, poczucia właściwego poważnym, męskim umysłom. Poczucie to właśnie zanika w szkole rosyjskiej, której nauka nie ma nic wspólnego z życiem, nie jest sprawdzana przez sumienną, ścisłą obserwacyę życia, która uczy wygłaszać zasady dla zasad, dla pokazania ich na egzaminie, nie mając możności zmusić młodzieży do wcielenia tych zasad w czyn, tak są oderwane od życia, albo też tak się sprzeciwiają całej naturze moralnej ucznia. Wygimnastykowany w mieleniu podobnych trocin umysł, potem już na własną rękę, dobrowolnie uprawia tę samą sztukę i idzie mu to jak z płatka.

Przeciwieństwo charakteru licznej kategoryi dzisiejszej młodzieży i głoszonych przez nią zasad, przeciwieństwo, będące istotą socyalistycznego dekadentyzmu, znajduje najlepszy swój wyraz w przykładzie, który tu przytoczę. Niedawno miałem w ręku sprawozdanie z przedostatniego zjazdu Zjednoczenia stowarzyszeń młodzieży polskiej za granicą. Dowiedziałem się z niego, iż między innemi obradowano na tym zjeździe nad sprawą zachowania się wobec proponowanej na r. 1895 żałoby narodowej. Po długiej dyskusyi w sprawie tej postawiono dwa wnioski: jeden żądał, ażeby zjazd uchwalił w kwestyi żałoby zastosować się »do opinii najbardziej rewolucyjnych kół w kraju«, drugi zaś polecał zająć stanowisko, jakie zajmą »klasy pracujące polskie«. Przyjęto ostatni. Czyż można było sobie wystawić lepsze świadectwo? Mniejszość zebranej na zjeździe inteligentnej młodzieży poddaje się z góry pod komendę kół najbardziej rewolucyjnych — wszystko jedno, co to za koła, aby tylko były najbardziej rewolucyjne, większość zaś oddaje przewodnictwo w sprawach ogólno-narodowych klasom pracującym, które niedość jeszcze są wyrobione, aby mogły dawać inicyatywę tego rodzaju, nie mają organu do wypowiedzenia swej opinii, żałoby zaś, wyrażającej się w zaniechaniu balów, tańców i t. p., zaznaczyć nie mogą, bo one wogóle nie urządzają balów i bardzo mało się bawią w liczniejszych zebraniach Oba te wnioski świadczą o znakomitej zdolności zadawalniania się radykalnym frazesem, nawet pozbawionym sensu, tam, gdzie zdolność do czynu nie dopisuje. Zresztą podobnych rezolucyi bardzo komentować nie trzeba. Same za siebie mówią.

Jednego nie można zarzucić naszym dekadentom socyalistycznym — to dobrych chęci. Słabe one są niezmiernie, ale dobre. Dobremi jednak chęciami, jak mówi przysłowie, piekło jest wybrukowane.

R. Skrzycki.

W SPRAWIE MORSKIEGO OKA.

Jak wiadomo, spór graniczny z Węgrami postanowiono rozstrzygnąć drogą sądu rozjemczego. Spodziewać się należy, iż wyrok wypadnie na naszą korzyść, wszystko bowiem przemawia tu za nami: nietylko dowody posiadania w przeszłości, na które jednostronnie w całej sprawie zwrócono uwagę, ale fakt panowania naszego ostatnimi czasy na spornem terytoryum do chwili wszczęcia sporu i znaczenie, jakie ma Morskie Oko dla każdego z krajów. Trzeba pamiętać, że przy rozstrzygnięciu sporu na naszą korzyść, społeczeństwo węgierskie nie będzie miało żadnego poczucia straty, bo tam nikt prawie do obecnej chwili o Morskiem Oku nie słyszał i okolicami jego się nie zajmował. Zrozumieć zaś jakie u nas by zrobiło wrażenie zakończenie sprawy w duchu przeciwnym może każdy, kto wie chociażby, ile miejsca zajmuje ten piękny skrawek ziemi w naszej literaturze i sztuce. To też w razie przyznania Węgrom spornego terytoryum stosunki polsko-węgierskie bardzoby się popsuły, a naród nasz, odnoszący się bardzo delikatnie do zakarpackich sąsiadów i uważający ich dotychczas za przyjaciół, możeby zechciał zgłosić prawa swoje do Spiżu, o którym się obecnie nic nie mówi.

Zresztą, ze względu na sprawy bieżące, w interesie zarówno rządu, jak narodu węgierskiego leżałoby, ażeby spór załatwiono zgodnie ze sprawiedliwością, i to jak najprędzej, pomimo bowiem całej życzliwości naszej dla sąsiadów, coraz częściej dają się słyszeć u nas głosy, ażeby się wstrzymać ze zwiedzaniem wystawy peszteńskiej, dopóki spór nie będzie zakończony. Czy można się dziwić mieszkańcom Galicyi lub licznym gościom z za kordonu, przewijającym się przez Zakopane, Szczawnicę, Krynicę i t. d., gdy zabraknie im ochoty na wyjazd do Pesztu, wobec stojącej przed oczyma krzywdy, wobec gwałtu dokonanego przez zuchwałego magnata, który dzięki intrygom znalazł poparcie w sferach rządowych węgierskich.

Prasa nasza, przyjmując z dobrą wiarą argumenty przeciwników, zwracała wyłącznie prawie uwagę na stronę prawną sporu, przyjmując za rzecz daną, iż ogół węgierski wielce się interesuje sprawą i wielką przywiązuje wagę do spornego obszaru. Tymczasem tak nie jest. Cała rzecz właściwie sprowadza się do zakulisowego matactwa, które powinno jak najrychlej znaleźć koniec. Sądzimy, iż dla czytelników naszych interesującą będzie rzeczą dowiedzieć się, jak się na sprawę zapatrują po tamtej stronie Karpat, jak się do niej odnosi ogół węgierski. To też z prawdziwą przyjemnością zamieszczamy poniżej informacye, pochodzące od jednego z przedstawicieli społeczeństwa węgierskiego, który sprawą sporu od początku się zajmuje, zna ją dokładnie i zapragnął przedstawić ją z nowej strony naszym czytelnikom. Nadesłany nam przezeń artykuł brzmi, jak następuje:

Nareszcie nieszczęsna sprawa »Morskiego Oka« weszła w stadyum, w którem można się spodziewać należytego jej rozstrzygnięcia. Pomimo swego *»non possumus«* musiał i rząd węgierski nieco swobodniej odetchnąć, gdyż smutny zatarg przyczynił mu sporo kłopotów.

Stało się np. rzeczą wiadomą, że nietylko w 16-em i 17-em stuleciu górale pasali swe stada na spornem terytoryum, ale że nawet przed r. 1879 Aladar Salamon nie przeszkadzał temu, z tego napewno względu, iż nie uważał wspomnianej przestrzeni za swą własność.

Dalej polecił rząd władzom komitatu spiskiego zebranie wszelkich dokumentów odnoszących się do procesu i przesłanie ich sobie. Wszelkie atoli poszukiwania okazały się bezowocnemi. Żadnego nie znaleziono dowodu.

Oto delikatne orzeczenie delegacyi komitatu spiskiego, która roztrząsała sprawę w komisyi. Brzmi ono: »iż szkoda trudów na pertraktacye w sprawie pomienionego terytoryum, nie dotyka ono bowiem żadnego ważnego interesu państwowego«. Gdyby przedstawiciele Spiżu uważali sporny obszar za naszą (węgierską *przyp. red.*) własność, to jużci raport ich brzmiałby inaczej, ponieważ atoli przekonanie ich było całkiem przeciwne, przeto sądzili, iż rządowi w tych słowach rzecz należycie wyjaśnią. Mądrej głowie dość dwie słowie.

Tak popadał rząd z jednego kłopotu w drugi, aż wreszcie znalazł się »karyerowiec« (*Streber*) w postaci urzędnika sądowego, który spróbował go wyciągnąć z fatalnego położenia Ten ogłosił w *Gazecie prawniczej* artykuł, w którym doszedł do wniosku, »że określenie, czy jakaś część kraju należy *de facto* do Węgier, stanowi wyłączną kompetencyę rządu«. Rząd węgierski uznał tę szczególną opinię i *»non possumus«* zaczęło się na nowo.

Niedługo jednak miał trwać ten szał zwycięski, król bowiem wyraził życzenie, ażeby sprawę rozstrzygnięto rozjemczo, skutkiem czego znajdujemy się obecnie na drodze do rozwiązania kwestyi. Zachodzi atoli pytanie, jakiego rodzaju to rozwiązanie będzie?

Co do tego, w *Pester Lloydzie* ukazał się w lutym artykuł, pochodzący ze źródła polskiego, w którym wyrażono zdanie, iż »przy Polakach winny zostać oba jeziora (t. j. Morskie Oko i Czarny Staw) z przylegającym do nich pasem ziemi«. Byłoby to w istocie najłatwiejsze rozwiązanie kwestyi i mogę Was jak najmocniej zapewnić, że tego rodzaju projekt już w roku zeszłym znajdował się w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Czy sąd rozjemczy zajmie takie stanowisko, to się w przyszłości okaże, że jednak projekt ten jest rozpatrywany, za to mogę Wam zaręczyć, można się więc spodziewać, że kwestya w tym duchu będzie rozstrzygnięta.

W istocie rzeczy, nie można znaleźć łatwiejszego rozstrzygnięcia, zwłaszcza jeżeli sprawa ma być załatwiona nie ze ścisłego stanowiska prawnego (?), ale drogą ugody. Jeżeli ze strony węgierskiej przyznają, że linia przecinająca jezioro lub rzekę nie może być poczytana za naturalną granicę, jeżeli dalej z polskiej strony chcą uznać Białkę za linię graniczną pomiędzy Węgrami a Galicyą, to niema już żadnej trudności w rozstrzygnięciu kwestyi.

Chciałbym przy tej sposobności wskazać na błąd, jaki popełnia Galicya względem Węgier. Panuje mianowicie przekonanie, że w sprawie sporu o Morskie Oko upór rządu węgierskiego podziela także węgierski ogół. Jest to krzyczący błąd! Nie było chwili, żeby publiczność węgierska gorączkowała się choć cokolwiek sprawą Morskiego Oka albo głowę sobie nad nią łamała. Morskie Oko — to dla nas *terra incognita.* Nie spotkałem dotąd żadnego Węgra, któryby wiedział, czy Morskie Oko jest własnością węgierską, czy polską. Ja sam słyszałem coś o niem przed rozpoczęciem sporu, zresztą chodziłem do szkoły, uczyłem się geografii, a nie znam ani jednej węgierskiej książki szkolnej, w którejby się znajdowała choć wzmianka o Morskiem Oku. My interesujemy się wysokiemi Tatrami głównie dopiero od czasu, jak Tatra-Füred (Szmeks) weszło w modę, jako miejsce lecznicze, ogłaszanie atoli przez Węgra spornego terytoryum za naszą własność byłoby poprostu niedorzecznością, gdyż Morskie Oko było i jest dla węgierskiego ogółu — jak już wyżej wspomniałem — *terra incognita.*

Również i parlament węgierski nie jest tak bardzo przeniknięty sposobem zapatrywania się rządu.

Gdy poseł Veszter interpelował swego czasu w tej sprawie ministra spraw wewnętrznych, przerwano mu z gniewem i drwinami. »Nie bądź pan śmiesznym!«, »Szkoda się tak wysilać!« — wołano mu z lewicy, a poseł stronnictwa niezależnego, Thali, zapytał szyderczym tonem: »Gdyście jednak mieli sprawę nad Litawą (tam bowiem mieliśmy także spory graniczne), toście się okazali uleglejszymi? Nie prawda?« Stronnictwo rządowe przyjęło wyjaśnienie ministra Perczela głębokiem milczeniem, skoro jednak ten zapewnił izbę, że spór o Morskie Oko będzie rozstrzygnięty ku zadowoleniu obu stron, wtedy i ono wykrzyknęło: *eljen!*

Nawet prasa nasza w żaden sposób nie może się gorąco przejąć »naszemi prawami« w tym sporze. W r. z. ukazał się w *Politikai Hetiszemle* artykuł o tej sprawie, ale wypowiadający się na korzyść Galicyi. Redakcya zaopatrzyła go w następującą uwagę: »Ogół węgierski nie będzie wcale stawiał przeszkód rozstrzygnięciu sporu o Morskie Oko, raczej da swe zezwolenie na to, ażeby Morskie Oko oddano Polakom, głównie dlatego że polskie pretensye są bardziej uzasadnione, aniżeli pretensye rządu, a następnie, ponieważ względy polityczne wymagają, byśmy raczej zachowali przyjaźń Polaków, aniżeli »Morskie Oko« (Morskie Oko — *tengerszem*, w przenośni: kropla z morza).

Widać stąd, iż zapatrywania rządu i narodu węgierskiego w tej sprawie wcale nie są identyczne. Więc: niech żyje »Morskie Oko« polskie!

Hungarus.

Z CAŁEJ POLSKI.

Niezadowolenie w zaborze pruskim z polityki koła polskiego. Konieczność zmiany taktyki. Popieranie zażaleń faktami. Ze stosunków szkolnych w Królestwie. Nowe złudzenia. Koło polskie i reforma wyborcza.

Od pewnego czasu w kilku pismach polskich w zaborze pruskim spotykamy dosyć często artykuły, roztrząsające krytycznie zasady i metodę dotychczasowej działalności politycznej. Jeżeli nawet pisma, zajęte sprawami realnemi i mające przeważnie charakter ludowy, czują widocznie potrzebę wyjaśnienia czytelnikom, a może i sobie, różnych wątpliwości i uzasadnienia swoich poglądów, to objaw ten jest dowodem, że zaczyna dojrzewać i formułować się nowa myśl polityczna, że uwydatnia się potrzeba zmiany kierunku i taktyki, obecnie stosowanej. Niezadowolenie wprawdzie nie jest powszechnem, ale jest bardzo rozpowszechnionem, chociaż wielu nie wypowiada go głośno i wyraźnie, a dotyczy nietylko t. zw. partyi dworskiej, ale i przeciwnego jej odłamu Koła polskiego w Berlinie i wogóle całego przedstawicielstwa, całej, że tak powiem, hierarchii politycznej.

Polityka ugodowa ostatecznie zbankrutowała i zwolennicy jej upierają się przy swojem dla zamaskowania ukrytej porażki i dlatego, że nie wiedzą sami, co robić należy, cofnąć się zaś na dawne stanowisko nie chcą i nawet nie mogą, bo zadaleko już się posunęli. Ale i ci, którzy na owem stanowisku pozostali, znużeni są i zniechęceni bezskutecznością swej działalności politycznej, co odbija się w ich postępowaniu chwiejnem, bo chociaż mają np. w kole posłów do parlamentu przewagę liczebną, dają się powodować partyi dworskiej. Ich polityka skarg i protestów z powoływaniem się na traktaty i przyrzeczenia królów pruskich nie zbankrutowała wprawdzie, gdyż, jako nie przedstawiająca dążeń pozytywnych, zbankrutować nie mogła, ale okazała się równie zawodną i jałową, jak polityka zabiegów ugodowych.

Ta ostatnia otrzymała chyba cios śmiertelny, jeżeli prawdziwą jest wiadomość, którą podaje korespondent poznański *Słowa polskiego*, że głośny zakaz grania melodyi polskich, którego wypiera się minister wojny, wyszedł z gabinetu wojskowego cesarza. Ugodowcy poznańscy zapewniali, że Wilhelm II osobiście jest dla Polaków życzliwy, tylko z różnych względów nie może tej życzliwości dowodnie wykazać.

Polityka polska w zaborze pruskim dotychczas znała dwie alternatywy wyżej zaznaczone i nie może teraz znaleźć właściwej kolei. Trzeba albo torować nową drogę z obawą zabłąkania się w manowcach, albo wyrzec się wszelkiej polityki, co dla społeczeństwa, które we wszystkich warstwach doszło już do świadomości narodowej jest zgoła niemożliwem. Nie brak wprawdzie wskazań, jaką politykę prowadzić należy, ale wychodzą one z różnych obozów i nie są zgodne z sobą w wielu punktach. Wszystkie zaś, zarówno głoszone przez inteligencyę demokratyczną i postępową, jak i te, które są hasłami ruchu ludowego i nakoniec wyznawane przez odłam opozycyjny, za którego organ uważać można *Goniec wielkopolski*, jakkolwiek mają charakter wyraźny, nie podają zupełnie jasnego programu, treściwej formuły działania. Rozmaite względy uboczne, nietylko osobiste, utrudniają postawienie jednego programu i zgodne w myśl jego działanie. Nie będziemy poruszali tej sprawy, która wymaga wywodów dłuższych, zaznaczamy tylko, że w krytyce polityki dzisiejszej i działalności Koła schodzą się w głównych zarzutach różne kierunki polityczne.

Nawet *Kraj* petersburski wypowiedział w tej sprawie kilka dosyć trafnych uwag, co mu się rzadko zdarza. Szłusznem jest zdanie, że potrzeba bliżej poznać tę szkołę polityczną, »w której kształciło się dzisiejsze pokolenie parlamentarne działaczy niemieckich«, słusznym zarzut, że posłowie polscy nie są należycie do działalności politycznej przygotowani. Inne natomiast wskazówki są ogólnikami. Niedosyć bowiem powiedzieć, że zadaniem głównem posłów powina być obrona interesów realnych i wykazywanie nadużyć, ale trzeba wyjaśnić jakie dotychczasowa w tym kierunku działalność ma braki. Posłowie polscy w Berlinie zawsze interesów realnych bronili i nadużycia wykazywali, uważali to jednak zwykle za rzecz podrzędną, za dodatki do przemówień swoich. Zaznaczyliśmy to, mówiąc o rozprawach w sejmie pruskim. Zamiast długich wywodów historycznych należało w odpowiedzi Bossemu przytoczyć dziesiątki i setki faktów nadużyć władz szkolnych. Nie zmieniłoby to polityki rządu w sprawie szkolnej, ale mogło wpłynąć na zmianę niektórych zarządzeń, na usunięcie zbyt widocznych objawów samowoli. Oskarżenia, poparte wiarogodnymi dowodami mają zawsze pewien skutek, system pozostanie ten sam, ale w stosowaniu jego władze będą uważniejsze. Dzienniki wciąż podają nowe fakty, o których posłowie nie wspominają wcale, chociaż powinni podawać je systematycznie do wiadomości rządu i parlamentu.

W ostatnich czasach pisma poznańskie przytoczyły kilka faktów samowolnego postępowania władz szkolnych przy oznaczaniu, w jakim języku dziecko, wstępujące do szkoły, pobierać ma naukę religii. Małego Władysława Gelerta zaliczono do oddziału niemieckiego, chociaż języka tego nie rozumie, ponieważ ojciec ma nazwisko niemieckie. Córeczce pp. Iwińskich kazano

uczyć się religii po niemiecku, bo matka jej jest z domu Praus, a więc Niemka, chociaż już ojciec tej matki ani słowa po niemiecku nie umiał. Rodzice tych dzieci odwołali się do władzy wyższej, ale to nie wystarcza. Takich faktów należy zebrać odpowiednią liczbę — bo z pewnością nie są to wypadki wyjątkowe, sprawdzić je dokładnie i nie w dziennikach, ale z trybuny sejmowej ogłosić. Faktami podobnymi trzeba kartaczować rząd przy każdej sposobności, niewiele to pomoże — prawda — w każdym razie będzie jakiś, bodajby drobny skutek, kiedy z protestów gołosłownych niema żadnego.

Przekonany jestem najmocniej i mam nawet pod tym względem pewne doświadczenie, że władze rosyjskie, bardziej jeszcze, niż pruskie pobłażliwe dla samowoli w duchu panującego systemu politycznego, zwracają jednak uwagę na zbyt krzyczące nadużycia, popełniane przez urzędników, ale tylko wtedy, kiedy faktu ukryć nie można i kiedy w skardze lub w piśmie jest on dokładnie przedstawiony. Niedawno *Dziennik poznański* ogłosił cały szereg oburzających faktów z dziedziny stosunków szkolnych w Królestwie. Pomijam takie, jak podsłuchiwanie w miejscu ustępowem, czy uczniowie nie rozmawiają po polsku, jak ukaranie ucznia za to, że przez zapomnienie przyszedł do szkoły z przyczepioną do szynela kartką z nazwiskiem po polsku napisanem i wiele innych, ważniejszych i ohydniejszych. Wszystkie one są wynikiem istniejącego systemu, a nadzieją zmiany systemu nie ma się co łudzić. Ale jeden fakt jest dowodem takiego barbarzyństwa, którego nawet rosyjski system szkolny nie wymaga, który uważać musi za nadużycie, jeżeli fakt zostanie publicznie ujawniony. W prywatnej szkole p. Trejdosiewicza nauczyciel języka rosyjskiego, Milutin, uderzył w twarz dziesięcioletniego chłopca, Tomasza W..., za to, że dziecko zrobiło omyłkę w dyktandzie. Zwierzchnik szkoły powinien był nauczyciela oskarżyć, bał się jednak to uczynić, żeby władza nie mściła się później na nim. Nie można tego rodzaju obawy usprawiedliwić, ale można ją zrozumieć, bo niezawodnie skarga wywołałaby skutek przewidywany. Ale oprócz miejscowej władzy szkolnej, są jeszcze inne, którym należało fakt zakomunikować. Powiadają, że wszelkie próby wnoszenia zażaleń do władz wyższych i informowania ich o nadużyciach zawodzą. Tak z pewnością nie jest, a gdyby nawet dotychczas tak było, to pamiętać trzeba, że dziesiątki i setki podobnych faktów inne wywierają wrażenie, aniżeli wypadki pojedyncze. Nie trzeba tylko spodziewać się naiwnie, jak to nieraz bywa, że rezultatem zażalenia będzie zmiana w postępowaniu władz, albo zmiana osób, zajmujących stanowiska wyższe. Takie nieuzasadnione oczekiwania prowadzą do rozczarowań, a następnie do opuszczenia rąk i zaniechania wszelkiej obrony.

Rzucanie się z jednej ostateczności w drugą jest u nas objawem dosyć zwykłym. Z powodu koronacyi zjawiają się znowu pogłoski o zmianie polityki rządu względem katolicyzmu. Z pogłosek tych jedna zasługuje na uwagę. Podobno minister spraw wewnętrznych, p. Goremykin, zażądał od ks. metropolity Kozłowskiego, żeby napisał memoryał o położeniu kościoła katolickiego w Rosyi. Znaczenie memoryału zależyć będzie od treści i od sposobu przedstawienia rzeczy. *Czas* donosi, że i arcybiskup Popiel ma również podać memoryał podobny. Niestety, obaj ci dostojnicy kościelni nie okazali dotychczas wielkiej odwagi cywilnej i mocy charakteru. Ks. Kozłowskiego dawniej już namawiali biskupi do podania memoryału, on zaś wymawiał się z obawy, że rząd skaże go za to na wygnanie. Wiadomość o pozwoleniu na wybudowanie kościołów w Ostrogu i Krakinowie nie ma właściwie żadnego znaczenia. Fakty tego rodzaju zdarzały się i dawniej, jeżeli starający się o pozwolenie umieli wynaleźć sobie, jak w powyższych wypadkach, potężnych protektorów. Pogłoski zaś o ustąpieniu Klingenberga i Orżewskiego należą do tych, które stale powtarzane, kiedyś sprawdzić się muszą, bo gubernatorowie i generał-gubernatorowie nie mają posad dożywotnich.

Do jakiego stopnia ludzie nadziejami sami siebie łudzić mogą, świadczy następujący wyjątek z korespondencyi petersburskiej *Dziennika poznańskiego:*

»W Krakinowie na Żmudzi parafianie od lat 12 z górą kołatali, żeby im pozwolono wystawić w miejsce starego, drewnianego kościół nowy, murowany. Nareszcie we wrześniu r. z. otrzymują z Wilna rozkaz, żeby czemprędzej stawiali nowy, ale drewniany. Krakinowiacy odnoszą (?) się znów do ministra. Teraz okazuje się, że p. Goremykin jeszcze w sierpniu r. z. podpisał pozwolenie na kościół murowany lecz p. Orżewskij pozwolenie to schował i udając bardzo gorliwego o dobro parafian posłał im rozkaz swój. Tym sposobem p. Orżewskij otrzymał wotum nieufności i pewnego rodzaju moralny policzek, po którym, gdyby nie miał czoła miedzianego, powinienby żądać dymisyi«.

Jeżeli fakty opisane są prawdziwe, to obrażonym mógłby czuć się jedynie minister Goremykin i on chyba powinien podać się do dymisyi, gdyby podwładny nie został za nieposłuszeństwo ukarany. Ale kto ulega złudzeniom — na logikę nie zwraca uwagi.

Nawet *Czas*, który złudzenia ugodowców podsycał, przestrzega teraz łatwowiernych, żeby się zbyt daleko w nadziejach nie zapędzali. Przestroga trochę spóźniona i teraz już poniekąd zbyteczna; owszem, niech się łudzą, prędzej nastąpi otrzeźwienie, silniejszą będzie reakcya, zbawienna dla obałamuconych.

W wiedeńskiej Radzie państwa zaczęły się rozprawy o reformie wyborczej. Najważniejsze z żądań Galicyi — pomnożenie liczby mandatów nie zostało uwzględnionem. Koło bardzo słabo wniosek ten popierało i nie pozyskało tyłu nawet głosów, ile oświadczyło się za wnioskiem Słoweńców, żeby Karyntyi zamiast jednego — przyznać dwa mandaty. Natomiast z wielką energią oświadczyli posłowie polscy, że nie zgadzają się na głosowanie bezpośrednie w kuryi piątej i gdyby izba tę zmianę w projekcie rządowym uchwaliła — głosować będą przeciw całej ustawie. To samo należało powiedzieć na poparcie wniosku o powiększenie liczby mandatów, a z pewnością ani rząd, ani większość Rady państwa nie sprzeciwiłyby się słusznemu żądaniu. Teraz okazało się dowodnie, że Koło nie chce większej liczby posłów z Galicyi i że tylko ustępując opinii publicznej wyraziło żądanie, którego poprzeć energicznie nie myślało. Bardzo wielu posłów nie było w izbie podczas głosowania, co zresztą jest faktem zwyczajnym.

Przeciw wyborom bezpośrednim występowali posłowie polscy w imię tradycyi narodowej i zasad autonomicznych. Mniejsza o tradycyę, chociaż zaznaczyć trzeba, że właśnie w Polsce było głosowanie bezpośrednie. Zasady autonomiczne wymagają, zdaniem większości Koła, żeby sejmy wysyłały delegatów do Rady państwa. Dziś jest to niemożliwe, więc autonomiści, zaznaczając dobitnie swoje przekonania, zgadzają się z istniejącym stanem rzeczy. Tymczasem poseł Dipauli wykazał, że gdyby stronnictwa, które głośno żądają wybierania delegatów przez sejmy, istotnie chciały tego, mogłyby

odpowiedni wniosek uchwalić, bo mają potrzebną ilość głosów. Zresztą głosowanie bezpośrednie w niczem autonomii szkodzić nie może, ale niewątpliwie zaszkodziłoby mocno dzisiejszym posiadaczom mandatów.

Poseł Edward Gniewosz postawił w Kole wniosek, żeby wybory w kuryi czwartej i piątej odbywały się tajnie, za pomocą kartek. I ten wniosek odrzucono, pod pretekstem, że jest spóźniony, bo z zasadami autonomicznemi dosyć trudno byłoby związać sprawę jawnego lub tajnego głosowania.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 21 kwietnia.

Historya szpiega.

Nurt naszego życia, kryjący wiele rzeczy przed oczyma ludzkiemi w swej głębi, od czasu do czasu wyrzuca na powierzchnię coś, co wymownie powiadamia o grozie odgrywających się na dnie dramatów. Do takich odkryć niezwykłych należy wyjście na jaw ostatnimi czasy faktu, że znany w dość szerokich kołach człowiek, uważany do niedawna za całkiem uczciwego, jest szpiegiem rosyjskim i pracuje od pewnego czasu na zgubę najbliższych swych znajomych i nawet swych dobroczyńców. Wiadomość o tem podały już rozchodzące się tu nielegalnie pisma socyalistyczne. Wszelkie wątpliwości co do faktu są usunięte, tem bardziej dla mnie, wobec tego, że posiadam w ręku niezbite, całkiem autentyczne dowody zbrodni.

Znając osobiście tego człowieka i jego historyę, zapoznam z nią pokrótce czytelników, widzę w niej bowiem przedmiot nader pouczający.

Nazywa się Antoni Wiśniewski.

Ma lat czterdzieści dwa lub trzy — wzrost niski, rysy regularne, twarz okolona rudą brodą, włosy ciemno blond, oczy niebieskie, z pewnym charakterem semickim — twierdzi, że jeden z przodków jego był Arabem i że stąd pochodzi przydomek rodowy »Kieresant«, który czasami w stosunkach z ludźmi do nazwiska sobie przyczepia.

Syn ubogiego introligatora, dzięki pewnym zdolnościom zdobył spore wykształcenie, podczas gdy dwaj bracia jego nie wyszli ze sfery rzemieślniczej. Nauki pobierał w jednem z gimnazyów warszawskich, poczem około r. 1873 wstąpił na wydział filologiczny uniwersytetu warszawskiego. Wkrótce atoli uniwersytet opuścił i został nauczycielem ludowym. W r. 1879 aresztowano go, jako uczestnika procesu socyalistycznego (drugiego w Warszawie), sformowanego na podstawie odkryć znanego szpiega, Huzarskiego. Osadzony w cytadeli warszawskiej, przepędził tam około roku — na śledztwie zachowywał się dobrze, nikogo nie wydał, czem wyrobił sobie opinię, z której długo potem korzystał. Z wyroku administracyjnego przesiedział potem dziesięć miesięcy w twierdzy, w Brześciu litewskim.

Poszukując chleba po wyjściu z więzienia, otrzymał posadę w magistracie warszawskim, w oddziale statystycznym. Przy tem zajęciu opracowywał dostępny mu materyał cyfrowy w artykułach, zamieszczanych w pismach warszawskich: *Przeglądzie tygodniowym*, *Kuryerze warszawskim*, *Ateneum* i t. d. W r. 1886, straciwszy posadę w magistracie przenosi się do Łodzi, gdzie mu powierzono redagowanie *Dziennika łódzkiego.* Ta chwila decyduje poniekąd o całej jego przyszłości. Stanąwszy dobrze pod względem materyalnym, korzystając ze stosunków, jakie daje stanowisko redaktora, skromny dotychczas nauczyciel ludowy lub dyetaryusz magistratu, zaczyna nabierać smaku w używaniu życia: odzywa się w nim *bon vivant*, poczyna wypróżniać butelki i, jak mówiono, szukać uciech za kulisami teatru. Żona jego, kobieta, pochodząca z ludu, poczyna się już skarżyć na niego, narzekać na jego rozpustę.

W jakieś półtora roku po otrzymaniu stanowiska w *Dz. łódzkim* traci je, pozostaje jednak w Łodzi, zarabiając współpracownictwem w pismach warszawskich, zbiera materyały o cudzoziemcach w Łodzi, ogłaszane w *Kur. warszawskim* i zwraca na siebie uwagę nader interesującemi korespondencyami do *Głosu*, o łódzkich stosunkach przemysłowych.

Około r. 1889 opuszcza Łódź i przenosi się do Warszawy, gdzie pisuje w dalszym ciągu dla pism, które korzystały z jego korespondencyi łódzkich, zamieszcza artykuły w *Głosie*, w *Przegl. pedagogicznym.* W tym już czasie okazuje się nałogowym pijakiem, posuwając się coraz bardziej na drodze, na którą wstąpił w Łodzi. Ludzie zaczynają stosunki z nim uważać za uciążliwe, między innemi w dwa lata niespełna po przejeździe jego do Warszawy wymawia mu współpracownictwo redakcya *Głosu.*

Od tego czasu zaczyna szybko znikać z widnokręgu. Słychać o nim jeszcze, że pracuje w ludowej *Gazecie świątecznej*, to znów, że wpadł w ostatnią nędzę, a nawet w r. 1891 podobno dokonywa próby otrucia się. Od roku 1892 już nie słychać, żeby miał gdzie stałe zajęcie; raz przy spotkaniu z osobą znajomą opowiada, że założył z kimś do spółki duży warsztat szewcki, ale nikt tego nie sprawdza. Jednocześnie między znajomymi, z którymi utrzymuje jeszcze jakie takie stosunki pozyskuje opinię człowieka sprzedającego cudze, pożyczone książki i uprawiającego wszelkiego rodzaju kłamstwo. Niebardzo mu też wierzono, gdy opowiadał w r. 1891, że była u niego rewizya żandarmska.

W r. 1893 poczynają obiegać głuche wieści, że Wiśniewski został agentem tajnej policyi. Oskarżenie tego rodzaju przyjmuje się łatwo, bo tu wchodzi w grę instynkt samozachowawczy ludzi, obawiających się ucierpieć na stosunkach z podejrzanym, skutkiem czego trudno im się liczyć z ciężką krzywdą, jaką podobne oskarżenie wyrządza, gdy jest bezzasadne. A wypadki takich nieuzasadnionych oskarżeń są bardzo częste. Tem ostrożniej też ludzie uczciwi poczęli się odnosić do wiadomości o Wiśniewskim: wyszukiwano wszelkie możliwe fakty, mówiące przeciw oskarżeniu, obawiając się człowieka niesłusznie skrzywdzić. Badania jednak więźniów zamkniętych w dziesiątym pawilonie, dostarczały coraz więcej dowodów na poparcie oskarżenia. Nagromadziło ich się wreszcie tyle, że trudno było wątpić. Wiśniewski został ogłoszony za szpiega — najpierw w kółkach socyalistycznych i wydawanych przez nie pismach, potem w szerokich kołach dawniejszych znajomych. Dziś już mówią, że funkcyonował on nawet w roli agenta prowokującego, że dostarczał dynamitu robotnikom, którzy w swoim czasie wykonali zamach w Łodzi na fabrykanta Kunitzera, a potem przygotował żandarmom materyał do procesu, zakończonego obecnie skazaniem podobno pięciu ludzi na powieszenie.

Tak się przedstawia epopeja tej upadłej istoty, spisana na podstawie spostrzeżeń, które mógł czynić przeciętny Wiśniewskiego znajomy. Brak w niej najważniejszej dziś dla nas strony jego życia, mianowicie faktów, dokładnie przedstawiających jego rolę, jako szpiega. To jest tajemnicą żandarmskich kancelaryi. Znalazłem się w tem położeniu, iż mogę rąbka tajemnicy uchylić. Mam w ręku długi szereg raportów, złożonych przez nikczemnika swoim teraźniejszym chlebodawcom.

Pierwszy z tych raportów odnosi się do połowy lipca r. 1892. Ze wszystkiego należy wnosić, iż w tym właśnie roku Wiśniewski począł pełnić swą zbrodniczą służbę,

*

a w każdym razie najwcześniej w r. 1891 t. j. wtedy, kiedy ludzie poczęli zwracać uwagę na jego upadek moralny.

Sądząc po sposobie pisania, wspomniany raport nie jest pierwszym z szeregu złożonych przez niego żandarmom. Zaczyna on się od słów: »Jesienią roku 1885 podczas rewizyi w mieszkaniu Maryi Bohuszewiczówny w Warszawie przy ul. Złotej żandarmi znaleźli zwitek papierów, zawierających rękopiśmienne recenzye książeczek ludowych. Od tego czasu rękopisy te były pokazywane rozmaitym osobom, ale nic nie wykryto. Stanowią one sprawę zatytułowaną: »Sprawa towarzystwa oświaty ludowej w m. Warszawie«. Zdaje się, że obecnie sprawa ta została oddana do archiwum. Jest to towarzystwo p. n. »Oświata ludowa«. Założono je w Warszawie w r. 1882 z inicyatywy...... Członkami jego byli... i t. d.« Następuje dość długi szereg denuncyacyi osobistych. Umyślnie przytoczyłem początek tego raportu, wobec tego bowiem, że obecnie sprawę oświaty ludowej w Królestwie wywleczono na porządek dzienny, dla czytelników interesującą może być rzeczą jej początek. W następnych raportach o tej sprawie nic niema. Dopiero od kwietnia r. 1893, widocznie pod wpływem większego zainteresowania się nią ze strony żandarmów, szpieg zaczyna poświęcać jej systematycznie bądź dłuższe ustępy, bądź pojedyncze wzmianki, wreszcie na żądanie zwierzchników pisze o niej cały referat. Niepodobna mi tu wchodzić w szczegóły, którymi przepełnione są denuncyacye, wskażę tylko ogólne rysy działalności nikczemnika, na podstawie tego materyału.

Żandarmi operujący, w Królestwie, nader słabo są przygotowani do swych obowiązków. Rząd rosyjski śród najważniejszych swych działaczów nie ma ludzi, znających stosunki polskie, tymbardziej więc trudno znajomości tej spodziewać się od oficerów żandarmeryi, ludzi bez wykształcenia, bez zdolności, przyjeżdżających do obcego kraju, o którym słyszeli bardzo mało, a to co wiedzą, najczęściej jest zbiorem wymysłów, z których się składają wiadomości Rosyan o Polakach. Prowadzą ci żandarmi śledztwa w sprawach, których ducha wcale nie rozumieją, a to im działalność niezmiernie utrudnia, nie mówiąc już o tem, że bywa przyczyną zabawnych epizodów. Dla ilustracyi dam jeden przykład.

Po przeniesieniu zwłok Mickiewicza do Krakowa, jeden z ludzi, którzy przy ekshumacyi zwłok w Paryżu mieli mowy, został w Warszawie aresztowany, jako przestępca polityczny.

Żandarm zaczął badanie od pytań:

— Byłeś pan przez pewien czas w Paryżu?

— Tak, odrzekł badany.

— I podczas pańskiego pobytu umarł tam Mickiewicz?

— Nie.

Tu żandarm uderza pięścią w tekę z papierami, mówiąc:

— Nie zaprzeczaj pan, mamy dowody, że pan byłeś na jego pogrzebie.

Tak tedy żandarm, działający w Polsce, sądził, iż Mickiewicz umarł w r. 1890.

Dowodów podobnej ignorancyi możnaby przytoczyć mnóstwo.

Otóż Wiśniewski, będący człowiekiem bądź co bądź wykształconym, choć nie odznaczający się zbyt wysoką inteligencyą, posiadający wcale niezłą znajomość stosunków polskich, przedewszystkiem stał się dla żandarmów cennym nabytkiem, jako encyklopedya rzeczy polskich, o których w książkach szukać nie umieją, a często, choćby umieli, nicby nie znaleźli.

Z drugiej strony, żandarmi, nie mający wstępu do kół polskich — jeden bowiem tylko ich naczelnik, generał Brok, cieszy się przyjaźnią pewnych sfer polskich w Warszawie — nie mogą sami osobiście zdobywać informacyi o tem, co się nielegalnego dzieje w kraju; niższe organy żandarmskie (śród których niema wcale Polaków), będąc także na obcym gruncie, żadnych wiadomości zdobywać nie są w stanie i służą tylko do określonych poleceń, jako *„stupajki“*; tajnych wreszcie agentów, rekrutujących się z miejscowego społeczeństwa, ogromny jest brak, kandydaci zaś, zgłaszający się na te posady, należą do ostatnich szumowin społecznych, żyjących przeważnie we własnym kraju *extra muros*, a stąd całkiem nieużyteczni, pochodzą z warstw nieoświeconych i przy wszystkich nawet innych warunkach korzystnych niska inteligencya obniża bardzo ich użyteczność w roli szpiegów. Skutkiem tego, łatwo sobie radząc z konspiracyami robotniczemi, w sprawach, gdzie występuje w roli przestępców inteligencya, mają trudny orzech do zgryzienia. Można sobie tedy wyobrazić, jak się ucieszyli, znalazłszy człowieka gotowego na usługi i posiadającego takie warunki, jak: 1. pewną inteligencyę i wykształcenie, 2. liczne stosunki śród najruchliwszych żywiołów miejscowej inteligencyi, 3. stanowisko dziennikarza, ułatwiające zdobywanie wiadomości o wielu rzeczach, wreszcie, 4. przeszłość uczestnika w procesie politycznym, ułatwiającą wstęp do kół, prowadzących działalność nielegalną i budzącą zaufanie. Można sobie wyobrazić, ile złego człowiek z tymi warunkami mógł zrobić i zrobił. Całe szczęście, iż warunki nasze wytwarzają ogromną wrażliwość na najdrobniejsze odcienie psychiki ludzkiej, skutkiem czego otoczenie dość wcześnie poczęło instynktownie odczuwać, iż człowiek ten nosi w sobie coś złego, i ludzie, nie mający żadnych przeciw niemu faktycznych zarzutów, nie mogli się względem niego zdobyć na szczerość, nie dopuszczali go zbyt blisko do siebie. To też w jego raportach obok mnóstwa dokładnych informacyi, człowiek nawet niezbyt obeznany ze stosunkami widzi cały szereg błędów, pochodzących stąd, że nędznik, nie mogąc się wielu rzeczy dowiedzieć, dopełniał swe wiadomości na podstawie rozmaitych kombinacyi. Stąd raporty te, jak zresztą każdy podobnego rodzaju materyał, przy całej użyteczności są dla żandarmów bronią niepewną, ułatwiającą nieraz ugodzenie w istotę rzeczy, ale często mogącą powodować pudło.

Czytelnik z powyższego może już wywnioskować, że działalność Wiśniewskiego, jako agenta tajnej policyi, rozpada się na dwa działy: 1. ogólne pouczanie żandarmów o rzeczach polskich, 2. informowanie ich o robotach nielegalnych, prowadzonych obecnie w kraju. W każdym z tych działów praca jego przedstawia się obficie.

Jak widać z jego raportów, żandarmi stawiają mu zapytania w najrozmaitszych kwestyach, a on na nie mniej więcej obszernie odpowiada. Podaje im statystykę ludności polskiej na kuli ziemskiej, krótką historyę ruchu socyalistycznego w Polsce, rozwój ruchu patryotycznego ostatnich czasów w zaborze rosyjskim, informacye o przypadających w najbliższej przyszłości rocznicach narodowych, historyę Skarbu Narodowego, przebieg sprawy emigracyjnej, wiadomości o ekspedycyach Dunikowskiego, Siemiradzkiego, Kłobukowskiego, historyę i organizacyę »Sokoła« w Galicyi, wiadomości o legalnych towarzystwach warszawskich, o czytelniach bezpłatnych w Warszawie, informacye osobiste o współczesnych wybitnych członkach społeczeństwa polskiego, o znanych literatach, pisze o Sienkiewiczu, Chmielowskim, Konopnickiej, Karłowiczu, Korzonie, daje cały długi raport o Dygasińskim i t. d., i t. d. Jako próbkę jego charakterestyk literackich, przytoczę tu parę wierszy o Konopnickiej: »Konopnicka Marya nie jest socyalistką, ale w swych poezyach i utwo-

rach belestrystycznych ciągle się zajmuje niedolą ludu. W pierwszym tomie swych poezyi zamieściła ona wiersz: »Wolny najmita«, w którym przedstawia chłopa, któremu za podatki sprzedano ziemię i który idzie teraz, dokąd go oczy poniosą. Wyrazu: *najmita* w języku polskim niema i użyła go ona jako *licentia poetica* (?), ale od tego czasu wyraz ten przyjęty został przez *Proletaryat* (organizacya socyalistyczna *przyp. red.*) w jego wydawnictwach, zamiast właściwego wyrazu *najemnik*.....« W dalszym ciągu tego ustępu przytacza tytuły ośmiu utworów Konopnickiej z notatkami o ich treści. Pisząc znów o Sienkiewiczu, wskazuje na utwór »Z pam. poznańskiego nauczyciela«, jako krytykujący szkołę, i na »Bartka zwycięzcę«, mającego wykazywać, »jakiego potwora z człowieka robi służba wojskowa«. Jeden raport poświęcony jest szczegółowej historyi tygodnika *Głos*, od jego powstania (wkrótce po tym raporcie nastąpiło zamknięcie *Głosu* przez władze) i notatki o jego współpracownikach. W ostatnich czasach pisze szereg obszernych referatów na zadane tematy dla rozmaitych żandarmów: dla Biełanowskiego, Markgrafskiego, dla Broka. Pierwszemu np. składa obszerny referat o oświacie ludowej w królestwie polskiem, na żądanie Markgrafskiego opracowuje w listopadzie r. z. referaty o ruchu polskim w Ameryce północnej i o ruchu socyalistycznym polskim w Stanach (oba te referaty przeznaczone były nietylko do poszukiwań policyjnych, ale i do zużytkowania literackiego przez żandarma-publicystę), wreszcie na rozkaz generała Broka pisze dla niego w początku grudnia r. z. referat o jednej z dobroczynnych instytucyi w Warszawie, generał bowiem zebrał w towarzystwach polskich wiadomości, które wzbudziły w nim pewne podejrzenia i które postanowił dopełnić wiedzą agenta.

Tak się w ogólnych zarysach przedstawia działalność Wiśniewskiego, jako profesora działu „*Polonica*“ w warszawskim okręgu żandarmskim.

Trudniej jest informować o tem, co robił, jako zwykły agent policyjny, można bowiem zaszkodzić osobom, dać powód do mnóstwa plotek. Trzeba rzecz trzymać w granicach relacyi bardzo ogólnikowej.

Najwięcej, jak widać z raportów, widział dla siebie pola we wkręcaniu się do kółek socyalistycznych, zwłaszcza w badaniu spraw łódzkich. Wszystkie rewizye i aresztowania w Łodzi od r. 1892 — to jego dzieło. Dalej pisze cały szereg denuncyacyi, przechodzących nawet często granice prawdopodobieństwa, o nielegalnej działalności znajomych swoich z pośród inteligencyi warszawskiej. Jednym z nowszych jego czynów jest podanie w styczniu r. b. listy wszystkich osób, które według jego zdania mają należeć do towarzystwa oświaty ludowej. Informuje o tajnych uniwersytetach w Warszawie, o kółkach studenckich, o tajnych bibliotekach dla robotników, włościan, o bibliotece studenckiej w Warszawie, o zbiorowych biblioteczkach, organizowanych przez obywatelstwo wiejskie, o niedozwolonych przez władze towarzystwach wzajemnej pomocy, wyciąga tajemnice legalnych instytucyi i t. d. Jak zamarły w nim w tej robocie wszelkie uczucia ludzkie, świadczy ten fakt chociażby, że prosił p. Maryę Weryżankę, ażeby w swej szkółce froeblowskiej uczyła darmo jego córkę, a potem od ostatniej wyciągał rozmaite wiadomości o wewnętrznem życiu szkółki. W rezultacie szkółkę p. W. na żądanie żandarmów zamknięto.

Z porównania szeregu raportów widać, że wiadomości jego bieżące są coraz szczuplejsze, że ludzie coraz więcej go unikają, aż w końcu, po ogłoszeniu go jako szpiega, działalność jego ogranicza się do zbierania wiadomości o konspirujących Rosyanach i Żydach rosyjskich w Warszawie.

W r. 1894 bawi dwa razy we Lwowie. Raz przed wystawą w kwietniu, drugi raz podczas wystawy. Z obu tych pobytów podaje w raportach wszystko, co zdołał zebrać. Między innemi podaje listę osób z Królestwa, które na wystawie widział i które tam brały udział w zjazdach. Godne uwagi jest jedno miejsce raportu, w którem przy nazwisku widzianego we Lwowie nauczyciela gimnazyalnego z Królestwa znajduje się na marginesie uwaga oficera żandarmskiego, polecająca donieść o fakcie właściwej władzy.

Nie gardził, chodząc po świecie, niczem, coby się żandarmom mogło przydać. W jednym z raportów pisze, iż nauczyciel gimnazyum II w Warszawie żądał od matki ucznia tysiąc rubli łapówki dla dyrektora szkoły, w innym, że policmajster łódzki, Daniluk (r. 1893), bierze łapówki.

Tak się w ogólnych zarysach przedstawia działalność szpiega, będącego ostatnimi czasy najlepszym pewnie nabytkiem żandarmeryi rosyjskiej w Warszawie.

* *
*

P. S. W ostatniej korespondencyi, wymieniając nazwiska skazanych w ostatnim procesie politycznym, popełniłem błąd w oznaczeniu ich zajęcia. Z trzech wymienionych jeden tylko Grabowski był studentem, Szmurło zaś lekarzem, a Wernyhora urzędnikiem huty szklanej w Targówku. Proces ich w znacznej części uważać trzeba za robotę Wiśniewskiego, czego dowód znajduje się w raportach, o których wyżej mowa.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań d. 25 kwietnia.

Niezadowolenie z Koła polskiego. Nowy pomysł władz szkolnych. Jeszcze o zakazie melodyi polskich. Towarzystwa śpiewackie. Zlot sokołów.

Kilkakrotnie już pisano w ostatnich czasach o niedbałem wykonaniu swoich obowiązków przez kilku naszych posłów w Berlinie. Wniosek w Kole o głosowanie za budżetem marynarki przechodzi, bo kilku posłów spóźniło się lub nie przybyło na posiedzenie. Koło podpisuje wniosek posła duńskiego Johansena, a na posiedzenie, na którem w sprawie tej w sejmie pruskim głosowano, przybyło tylko trzech Polaków. *Goniec* w korespondencyi berlińskiej zaznaczył, że z tej opieszałości wielu posłów korzysta zręcznie partya dworska. Szczegóły, podane przez *Gońca* prostuje w *Dzienniku* poseł Janta-Półczyński, ale sam podaje fakt, stwierdzający słuszność powyższego zarzutu. Na wniosek Koła polskiego uchwalono unieważnienie wyboru w powiecie świeckim p. Holtza, który pobił kandydata polskiego nieznaczną większością głosów. Okazało się jednak następnie, że głosowało tylko 184 posłów, a więc mniej niż połowa liczby ogólnej, wskutek czego odbyć się musi powtórne imienne głosowanie. Pomimo, że posłów polskich wezwano telegraficznie wczas na posiedzenie, zjawiło się ich tylko ośmiu. Obrońcy naszych posłów twierdzą, że w Kole polskiem w Wiedniu nie lepiej się dzieje, ale taki argument nie jest usprawiedliwieniem, ale chyba tylko stwierdzeniem, że niedbalstwo w spełnianiu obowiązków publicznych należy do naszych wad ogólno-narodowych. Tego rodzaju fakty wyzyskają niewątpliwie przeciwnicy polityki Koła w czasie wyborów przyszłych i powinni to zrobić, bo nietylko zmiana sposobu działania ale i zmiana osób jest u nas konieczną. Posłów honorowych i od parady, chociażby zresztą ludzi najgodniejszych szacunku z innych względów, mieć nie możemy, bo wogóle za mało ich mamy do obrony interesów w parlamencie i sejmie.

O ujawnianych wciąż w pismach nadużyciach władz szkolnych w sprawie nauki religii pisać szczegółowo nie będę, zaznaczyć jednak muszę względnie nową metodę postępowania. Kierownik szkoły nie zapisuje dziecka od razu na naukę religii po niemiecku lub po polsku, ale czeka aż się dzieci przez kilka tygodni trochę po niemiecku poduczą i wtedy dopiero ostatecznie je klasyfikuje. Na skargi rodziców dyrektorzy i nauczyciele odpowiadają, że muszą postępować zgodnie z rozporządzeniem władzy wyższej, ale rozporządzenia nikomu nie pokazują.

Może to rozporządzenie jest pierwszym objawem owego zwrotu w opinii o nas sfer rządowych, o którym obwieszczały niedawno pisma narodowo liberalne i konserwatywne. Rząd przekonał się, że Polacy nie są stronnictwem, ale narodowością odrębną i inaczej teraz będzie postępował z nimi. Równouprawnienie Polaków jest niemożliwem, a dotychczasowa pobłażliwość względem nich ustać musi. Jest to jakby zapowiedź nowych środków wyjątkowych w rodzaju ustawy przeciw socyalistom. Ma się rozumieć, nie zawiera ta gadanina żadnych wskazań poważnych i tylko dla charakterystyki usposobienia Niemców wspominamy tu o niej.

Sprawa rozporządzeń, wydanych kapelom wojskowym, sama przez się niezbyt ważna, ma dla nas pouczające znaczenie, bo okazało się, że odpór solidarny wywiera na Niemców wrażenie. Zarząd ogrodu zoologicznego z Niemców złożony udał się z prośbą do władzy, żeby zakaz zniosła, gdyż w przeciwnym razie grozi instytucyi bankructwo. Minister wojny oświadcza, że żadnego rozporządzenia nie wydawał, a generał, dowodzący wojskiem w Poznaniu twierdzi, że dla niego zakaz był niespodzianką. Kto zakaz wydał — pozostaje zagadką, ale wątpliwości nie ulega, że władza chciałaby wycofać się z honorem z tej sprawy. Okazuje się teraz, według informacyi miejscowych pism niemieckich i dzienników berlińskich, że nie wszystkim kapelom zabroniono grywania pieśni polskich i że zakaz stosuje się nie do wszystkich melodyi ale do kilku „dosyć« często wspominanych pieśni, które zresztą na programach koncertowych nie były umieszczane«.

Oprócz zadowolenia z konfuzyi niemieckiej może mieć ta sprawa rezultat dodatni — utworzenie dobrej kapeli polskiej. Nie jest to wcale rzeczą trudną i nie wymaga tak wielkich kosztów, jak obliczają niektóre pisma. Szkoda wielka, że niema u nas drugiego Namysłowskiego, któryby utworzył dobrą kapelę włościańską, a materyału odpowiedniego nie brak, bo lud nasz jest dosyć muzykalny. Mamy jednak nadzieję, że znajdzie się dyrektor Polak, który bez żadnych zasiłków kapelę zbierze i wyćwiczy. Urzeczywistnienie zamiaru zależy jednak od tego, czy przyrzekną mu poparcie towarzystwa przemysłowe i śpiewackie. Należałoby poruszyć tę sprawę w Inowrocławiu, gdzie 3 maja, w dziesiątą rocznicę założenia towarzystwa miejscowego odbędzie się zjazd polskich towarzystw śpiewackich z naszej prowincyi.

Rozwój towarzystw śpiewackich bardzo byłby pożądanym, ale niestety, nie może w naszych warunkach posuwać się szybko, bo nie mamy należycie przygotowanych organizatorów i kierowników chórów. W Niemczech są nimi zwykle po wsiach i miasteczkach nauczyciele, u nas władza nie pozwala im na to, zresztą niewielu już zostało nauczycieli Polaków. Tu i ówdzie kierownikami mogą być organiści, jeżeli mają odpowiednie wykształcenie i nie są zarazem nauczycielami. Inteligencya miejska dotychczas udział w towarzystwach śpiewackich uważała za niewłaściwy, uwłaczający jej godności i tylko niektórzy jej przedstawiciele są innego zdania. W towarzystwie inowrocławskiem kilku ludzi z inteligencyi gorliwie się krząta i dlatego zapewne jest wspomniane towarzystwo jednem z najlepiej zorganizowanych.

Razem z chórami mogłyby powoli tworzyć się kapele polskie po miastach, a z nich następnie powstałaby orkiestra wyborowa z najlepszych sił złożona. Potrzeba takiej kapeli jest nieodzowną żeby nie zależeć od kaprysu Niemców. Po co zresztą płacić im tysiące. Oto np. w połowie sierpnia odbędzie się w Poznaniu zlot naszych Sokołów. Jeżeli władza wojskowa nie zniesie zakazu, o którym mówiliśmy, Sokół poznański będzie musiał sprowadzić kapelę z Wrocławia lub z Niemiec i zapłacić co najmniej 1000 marek, a może dwa razy tyle.

Towarzystwa sokolskie niedawno w zaborze pruskim istnieją i z początku nie cieszyły się wielką sympatyą społeczeństwa. Powoli jednak rozszerzać się zaczęły, najprzód w Księstwie, później w Prusiech Zachodnich, a w ostatnich czasach zjawiają się już na Śląsku. Zlot sierpniowy doda z pewnością bodźca do żwawszej działalności, a w każdym razie w naszych stosunkach będzie wypadkiem ważnym, tymbardziej że spodziewamy się gości z innych dzielnic, a przedewszystkiem Sokołów galicyjskich, którzy naszym ubogim i nielicznym zastępom mogą świecić pięknym przykładem.

Praca przygotowawcza do zjazdu już się zaczęła i idzie raźno, chociaż na wstępie o mało jej nie udaremniły właśnie w łonie naszego Sokoła. Udało się te swary zażegnać i sprawę która spór wywołała, załatwiono zgodnie z żądaniem opozycyi. Było z tego powodu trochę polemiki w pismach i niezadowolenia wśród Sokołów, które przybrało dziwną formę pretensyi do prasy. Pisma nasze zgodnie zaprotestowały przeciw wygłoszonemu przez niektórych żądaniu, żeby nie krytykowały pewnych stron działalności Sokoła. Żądanie wydaje się tymbardziej niewłaściwem, że przewodniczącym w Sokole poznańskim jest p. Rabski, znany literat i radaktor *Przeglądu*.

J. M.

= *Wiec polsko-katolicki w Gdańsku.* Jak czytelnikom naszym wiadomo, w ostatnich czasach zniesiono w Gdańsku przygotowawczą do spowiedzi naukę religii w języku polskim. Ojcowie rodzin polskich podali wskutek tego prośbę do biskupa chełmińskiego, ks. Rednera, na którą otrzymali odpowiedź, że księża mają nadal decydować w jakim języku dzieci powinny być przysposabiane do spowiedzi. Nie poprzestali na tej odpowiedzi i zwołali wiec polsko-katolicki, który się odbył w niedzielę 19 kwietnia. Zgromadzenie, na które przybyło około 300 ojców rodzin, zagaił p. Jakób Gliniecki, wybrany na przewodniczącego obradom. »W całych naszych Prusiech zachodnich ostatnimi czasy zaległa jakby jedna wielka narodowa żałoba«, tak zaczął p. Gliniecki i wykazawszy w dalszym ciągu przemówienia niesprawiedliwość, jaką wyrządza ludności polskiej rozporządzenie władzy duchownej, wezwał uczestników wiecu, żeby ponowili prośby o polskie ka"ania i naukę religii w języku polskim.

Dawniej co niedziela w kościele św. Józefa były kazania polskie, z czasem ograniczać je zaczęto i doprowadzono do 12 rocznie, wygłaszanych o 8 rano. Polaków jest w Gdańsku od 6 do 8 tysięcy, a nie mogą doprosić się o kazania w języku ojczystym, które dla Niemców, chociażby nieznaczną mniejszość stanowili, rozkazała zaprowadzić władza duchowna w parafiach katolicko-polskich. Dzieci, zmuszane do uczenia się religii po niemiecku, pochodzą w przeważnej większości z parafii polskich i niedawno wraz z rodzicami przybyły do Gdańska.

Wiec uchwalił podać powtórnie prośbę do biskupa i wybrał deputacyę, która miała ją doręczyć, W razie od-

powiedzi odmownej, Polacy gdańscy postanowili nie wyrzekać się dalszych starań i przedstawić stan rzeczy nuncyuszowi, a nawet dotrzeć do Rzymu. Biskup Redner przyjął deputacyę i zgodził się żeby w kościele św. Mikołaja co niedziela o 8 rano odbywało się nabożeństwo polskie, a o 9 żeby było kazanie. Sprawę zaś przygotowania dzieci do spowiedzi i komunii obiecał biskup rozstrzygnąć dopiero po wysłuchaniu zdania księży. Prawie wszyscy księża w Gdańsku znają język polski i przed świętami wyspowiadali po polsku 1200, a jak *Gazeta gdańska* twierdzi 3000 ludzi. Dzieci po polsku uczyć nie chcą, bo im dużo czasu zabiera prowadzenie nauki w dwóch językach, a zresztą ulegają naciskowi z góry. Biskup zachęcał Polaków, żeby zbudowali dla siebie własny kościół, ale parafianie polscy są w większości ludzie ubodzy.

= *Dowcip pruski.* Inspektor szkolny ze Śmigla, p. Hasemann, o którego samowolnym wybryku napisał *Goniec wielkopolski* artykuł p. t. »Ukaz królika« — przysłał temu pismu ciekawe sprostowanie z żądaniem, żeby je w całości wydrukować. Nie będziemy przytaczali tego, dosyć długiego wzoru dowcipu pruskiego, zaznaczymy tylko treść listu i powtórzymy kilka konceptów. P. Hasemann pisze, że od czasu wystawy lwowskiej ogłosili go chłopi okoliczni »królem polskim«, że wybór przyjął i zapewnił, iż w pierwszym dniu swoich rządów każe powiesić na sosnach pp. Admiralskich, Schroederskich, Wolszlegierskich, jak również redaktorów; »*Noch ist Polen nicht verloren. Goniec*«*!* W dalszym ciągu listu oznajmia p. inspektor że nie na wszystkie zarzuty *Gońca* będzie odpowiadał: *da ich von der polnischen Sprache nur wenig mehr verstehe, als der Papst. Der Papst* — nic, *ich ausserdem noch* — psa krew *Merke dir das, Goniec!*

Z początku pisma niemieckie sądziły, że jest to mistyfikacya, nie chciały bowiem uwierzyć, żeby inspektor szkolny mógł coś podobnego napisać. Okazało się jednak, że p. Hasemann, chcąc się popisać posłał odpis listu do *Posener Tageblattu.* Nawet ten organ hakatystowski oburzył się na głupotę p. inspektora i sądzi, że człowiek, który podobny list napisał i ogłosił, nie może być urzędnikiem państwowym, a tymbardziej inspektorem szkół. Rząd jednak zapewne okaże się pobłażliwszym i p. Hasemann pozostanie na stanowisku, bo w prowincyach polskich każdy wyrzutek niemiecki, jeżeli ma »prawdziwie germańskie« serce, posady nie straci, chociażby skandale wyprawiał.

Z GALICYI.

Lwów 29 kwietnia.

Rozprawy w radzie państwa. Odrzucenie wniosku p. Rutowskiego. Źródła informacyi o Galicyi. Dwie sprawy fałszywie przedstawione. Wydzierżawienie gmachu teatralnego.

Wspominaliśmy kilkakrotnie o zgromadzeniach włościańskich w Galicyi zachodniej, zwoływanych przez stronnictwo ludowe. W ostatnich czasach władze nie stawiły tym obradom poufnym szczególnych przeszkód, zresztą organizatorowie ich znakomicie wyćwiczyli się we wszelkiego rodzaju formalnościach i prawie nigdy nie dają pp. starostom i komisarzom pretekstu do rozwiązywania zebrań. Inaczej dzieje się w Galicyi wschodniej, gdzie władze działają bezwzględniej, a agitacya prowadzona jest z mniejszą wprawą i zręcznością. Najpobłażliwiej patrząc na niektóre zakazy, trudno zaprzeczyć, że nie mają żadnej podstawy prawnej, że podane w rozporządzeniach starostów powody, np. szczupłość mieszkania — są poprostu wybiegami. W Tarnopolu rozwiązano zebranie poufne, zwołane do mieszkania prywatnego, ponieważ zapraszający nie znał osobiście każdego z zaproszonych. Jest to wyraźne pogwałcenie zapewnionej w konstytucyi wolności zgromadzeń.

Niekiedy pogwałcenie to występuje w formie oburzającej. W ostatniej chwili dowiadujemy się, że osławiony starosta Gubatta nie pozwolił na odbycie wiecu ludowego w Gorlicach. Osoby, zwołujące zebranie, telegrafowały do namiestnictwa i do posła Lewakowskiego, który wysłał wkrótce odpowiedź, że hr. Badeni, zawiadomiony o samowolnem postępowaniu starosty, zwrócił się do namiestnictwa, żeby udzieliło pozwolenia. Pomimo to p. Gubatta nie pozwolił, a kiedy licznie zebrani włościanie udali się do restauracyi podmiejskiej i tam oczekiwali na odpowiedź stanowczą, zjawił się urzędnik starostwa w towarzystwie żandarmów i aresztował p. Stapińskiego ze Lwowa. Tłum ludu który domagał się wypuszczenia niesłusznie aresztowanego, rozpędzali żandarmi. Starosta skazał p. Stapińskiego na 3 dni aresztu za naruszenie przepisów o meldowaniu!

Poseł ruski w Radzie państwa p. Romańczuk postawił wniosek, wzywający rząd do sumiennego stosowania w Galicyi postanowień o stowarzyszeniach i zażądał nagłości. W mowie, uzasadniającej wniosek, przeszedł p. Romańczuk od właściwej sprawy do niefortunnej deputacyi ruskiej, której był organizatorem i swoim zwyczajem rozwodzić się zaczął szeroko o prześladowaniach, jakich doznają Rusini od Polaków.

Dało to pochop demokratom i antysemitom niemieckim oraz posłom młodoczeskim z kliki Waszatego do gwałtownego wystąpienia nietylko przeciw szlachcie polskiej, ale i przeciw Polakom w ogóle, przeciw gospodarce polskiej w Galicyi i Austryi.

Po przemówieniu hr. Badeniego, który oświadczył, że w r. 1896 nie wniesiono żadnej skargi na zakazywanie zgromadzeń, zabrał głos p. Lewakowski. Stwierdziwszy istnienie nadużyć i przytoczywszy kilka przykładów na poparcie wniosku p. Romańczuka, wyraził p. Lewakowski ubolewanie, że poseł ruski nadał sprawie niewłaściwy charakter walki między dwiema narodowościami. Polacy i Rusini tej samej ulegają przemocy. Nie można również mówić o »polnische Wirtschaft«, jest to »oesterreichische Wirtschaft«, narzucił nam tę gosdodarkę Schmerling, a w Austryi nawet w Wiedniu stosunki nie są lepsze.

Najgwałtowniej przemawiał poseł demokratyczny Pernerstorfer, który dziwił się spokojowi ludu polskiego i ruskiego. Ale przyjdzie, zdaniem mówcy, chwila, kiedy lud powstanie przeciw uciskowi. »Jeżeli jest w Austryi kraj, w którym lud gnębiony i uciskany ma prawo powstać przeciw swoim ciemięzcom, to tym krajem jest Galicya«. Odpowiadając Pernerstorferowi, p. Szczepanowski zaznaczył, że o stosunkach galicyjskich wydają sąd ludzie, którzy o nich pojęcia nie mają. Gdyby na tem i na zaznaczeniu, że w ciągu dwudziestu lat zrobiła Galicya wielkie postępy, poseł poprzestał, mowa jego byłaby odpowiedzią właściwą na patetyczne tyrady Pernerstorfera. Ale poseł liberalny rozwodzić się potem zaczął zwykłym swoim płaczliwym tonem o rzekomej zgodzie wszystkich warstw ludności pod hasłem »z polską szlachtą polski lud«.

Właśnie tego rodzaju zapewnienia, którym kłam zadają fakty wszystkim wiadome, chociażby np. ostatnie wybory do sejmu w Galicyi, rozdrażniają najbardziej opozycyę w Radzie państwa, bo słusznie oburzać mogą obłudą niepotrzebną i niezręczną. P. Madejski rozprawianiem o rzekomych właściwościach polskiej polityki i kultury, które utożsamił z dążeniami wstecznemi, jeszcze przed wnioskiem

Romańczuka wywołał dyskusyę, a p. Szczepanowski dolał oliwy do ognia.

Pisma galicyjskie mają słuszność, kiedy potępiają nierozważne popisy retoryczne p. Pernerstorfera i innych, fałszywie jednak przedstawiają sprawę, jako napad na nasz naród, bo wszyscy mówcy zastrzegali się, że tylko przeciw stronnictwu rządzącemu lub przeciw szlachcie występują. Nawet w tym wypadku należało im odpowiedzieć i uczynili to posłowie polscy pp. Lewakowski, Szczepanowski i Potoczek, wysnuwać zaś z tego zajścia jakieś wnioski polityczne — nie ma żadnej racyi.

Niewątpliwie rozdrażnienie, które było następstwem tych rozpraw, przyczyniło się do odrzucenia wniosku o pomnożenie liczby mandatów z Galicyi w kuryi piątej. Zresztą hr. Badeni oświadczył się wyraźnie przeciw wnioskowi, a Koło popierało go bardzo niedołężnie. Za wnioskiem głosowało tylko 83 posłów, między którymi byli antysemici, ogłaszani w niektórych pismach naszych, jako śmiertelni wrogowie Polaków. Sprawa mogłaby jeszcze przyjąć obrót pomyślniejszy, gdyby Koło szczerze pragnęło uchwalenia wniosku, w trzeciem czytaniu bowiem przybędą głosy czeskie, a i innych sojuszników można byłoby pozyskać. Ale wiadomo, że większość ustąpiła tylko pod naciskiem opinii publicznej i raczej wolałaby zmniejszyć niż powiększyć liczbę mandatów, to też głosując następnie solidarnie za projektem rządowym, uniemożliwiła przeprowadzenie owego wniosku w trzeciem czytaniu.

Przy drugim artykule projektu rozprawy: czy głosowanie ma być pośredniem, czy bezpośredniem, były jeszcze namiętniejsze. P. Lewakowski przemawiał za głosowaniem bezpośredniem, napiętnował praktyki wyborcze w Galicyi i wykazawszy demoralizujący wpływ na stosunki nasze polityki stańczyków i wogóle zachowawców, wyraził radość, że może wreszcie, jako poseł niezależny, wypowiedzieć szczerze nadzieje narodu polskiego i dążenia jego do niepodległości. Na prawdziwe uczucia nasze nawet sfery najwyższe przychylniej patrzą, niż na lojalizm bezwzględny.

Do dania odpowiedzi Lewakowskiemu wybrało Koło p. Wojciecha Dzieduszyckiego, który zapędził się w insynuacyach tak daleko, że zestawił przeciwnika... z Pobiedonoscewem. Niemal cała prasa, nie wyłączając dzienników, wrogich p. Lewakowskiemu i stronnictwu ludowemu, potępiła mowę p. Dzieduszyckiego, nawet przychylna mu *Gazeta narodowa* skarciła niewłaściwość tego wybryku oratorskiego.

Ma się rozumieć odrzucono wniosek o zaprowadzenie wyborów bezpośrednich, chociaż bardzo słabą większością, bo 18 głosów. Brakowało w izbie 93 posłów, z których wielu umyślnie nie przyszło, gdyż ani głosować przeciw wyborom bezpośrednim nie chcieli, ani odrzucać projektu rządowego. Z posłów polskich tylko 5: pp. Sokołowski, Hofmokl, Weigel, Kopyciński i Edward Gniewosz wstrzymali się od głosowania wbrew żądaniom wyborców. Inni posłowie miejscy i włościanin Potoczek oświadczyli się za wyborami pośrednimi.

Politycy i dziennikarze niemieccy lub czescy, nie znając Galicyi wcale, nie wiedząc czem była w epoce »gospodarki austryackiej« i czem jest obecnie, sądzą o niej według Koła polskiego, którego większość ma istotnie charakter skrajnie reakcyjny. Z drugiej strony jest, powiedziałbym, modą w Galicyi krytykowanie bezwzględne stosunków miejscowych, malowanie ich na czarno, nieraz nawet w dobrym celu wywołania odpowiedniej działalności społecznej. Dla przykładu przytoczymy dwie sprawy, które nieraz dają powód do napadów na gospodarkę polską dlatego głównie że my sami przedstawiamy je w oświetleniu fałszywem. Mam tu na myśli sprawę szkolnictwa ludowego i sprawę emigracyi. Autorowie, którzy wielkim głosem wołali o milionach »analfabetów« w Galicyi, dla większego efektu dołączyli do ich liczby niemowlęta, które wszędzie nawet w Norwegii i Szwajcaryi do szkoły nie chodzą, bo chodzić nie umieją, oraz ludzi starszych, których najgorliwsza działalność władz autonomicznych nie mogłaby już do szkoły zapędzić. Wykazując potrzebę działalności energicznej w sprawie szkolnictwa, niektórzy publicyści w nadmiarze gorliwości sfabrykowali taką liczbę dzieci w wieku szkolnym, jakiej żaden kraj w stosunku do ogółu mieszkańców nie posiada. Szkół mamy zamało, bo brak nam środków na ich utrzymanie, bo nietylko lud, ale jak trafnie zaznaczono, i kraj cały jest biednym, a zubożyła go długoletnia »gospodarka anstryacka«. Szkoły ludowe w Galicyi są bezpłatne, w innych zaś krajach Austryi opłata wynosi kilkanaście centów tygodniowo od każdego dziecka. Każdy, kto widział Galicyę przed dwudziestu laty i przypatrzy się jej teraz uważnie, przyznać musi, że jest postęp. Zresztą rozwój ruchu ludowego, który świadczy o wzroście świadomości politycznej i społecznej w warstwie włościańskiej jest najlepszym postępu Galicyi dowodem.

Z powodu emigracyi nagadano i napisano również dużo o nędzy ludu, o opłakanych stosunkach politycznych i społecznych, które wypędzają chłopów z Galicyi za morze, wreszcie o niedołęstwie władz krajowych, które nic nie robią dla zatrzymania wychodźców na miejscu. Powtarzamy z naciskiem, że istotnie lud jest biednym, bardzo biednym i zgadzamy się nawet na zdanie, że nasze stosunki polityczne i społeczne są jedną z przyczyn upośledzenia ekonomicznego ludności wiejskiej. Ale tylko jedną z wielu, do których należy zaliczyć przedewszystkiem oderwanie Galicyi od reszty Polski, następnie gospodarkę austryacką, warunki terytoryalne, przeciążenie podatkowe dla celów państwowych i t. d. Żadnych zaś środków nadzwyczajnych przeciw emigracyi, jak nieraz wykazywaliśmy, przedsiębrać niema potrzeby, bo jest ona objawem naturalnym, i z wielu względów pożądanym, bo rozmiary jej nie są wcale groźne, bo jest ona stosunkowo liczniejszą z wielu krajów zamożnych i wysoko cywilizowanych, bo wreszcie wszelkie środki przeciwdziałania jej mogą być pożyteczne, ale ruchu nie wstrzymają z powodu gęstego zaludnienia kraju i szybkiego wzrostu ludności.

Malowanie stosunków istniejących ciemnemi barwami, pesymizm i krytycyzm zgryźliwy są koniecznymi artykułami wiary stronnictw postępowych i radykalnych w Polsce, a zwłaszcza w Galicyi. Należałoby raz już otrząsnąć się z tego marazmu, który wywiera wpływ zgubny zarówno na polot dążeń, jak i na energię ludzi. Nie dlatego, że jest coraz gorzej, dążymy do zmiany stosunków, ale dlatego, że chcemy aby było lepiej, niż jest obecnie. W tem właśnie, że dziś jest lepiej, znacznie lepiej niż było, czerpać winniśmy otuchę do działania czynnego, do pracy wytężonej.

Pisma lwowskie zajmują się od pewnego czasu sprawą wydzierżawienia gmachu teatralnego, należącego do fundacyi Skarbkowskiej. Nie będziemy wchodzili w szczegóły tej sprawy, zaznaczymy więc tylko, że kontrakt zawarty został nieoględnie i że rada miejska zaprotestowała, wskutek czego Wydział krajowy go zmienił. Niektórzy twierdzą nawet, że zawarcie kontraktu było poprostu spekulacyą niesumienną w celach osobistych, na szkodę fundacyi. Zarzut nie jest wszakże wyraźnie sformułowany, a dowodów przytaczanych na poparcie jego, nie można uznać za wystarczające. Sprawa nabrała znaczenia dlatego głównie, że zamieszane są do niej osoby, zajmujące stanowiska wybitne, pp. Romanowicz, Zima, Wereszczyński i Michalski. Niektóre pisma, stające w ich obronie, zaznaczają, że głównym celem tej kampanii dla prowadzących ją jest skompromitowanie przeciwników politycznych. Gdyby nawet tak

było bardzo dziwić się temu nie można, że w walce politycznej korzystają ludzie z nadarzającej się sposobności zgnębienia osób, do przeciwnego obozu należących, chodzi o to tylko czy zarzut jest rzeczywiście uzasadniony, czy działają w złej, czy w dobrej wierze, czy nie są zaślepieni niechęcią. Dodać zaś trzeba, że potępiają nieraz taki sposób walki pisma, które nie wahały się rzucać na przeciwników potwarzy nikczemnych w rodzaju tej np., że o źródłach ruchu ludowego w Galicyi mógłby dać najlepsze informacye p. Markgrafskij.

= *Wiec ludowy w Baranowie.* Wspominaliśmy już, że stronnictwo ludowe urządziło w Galicyi zachodniej cały szereg wieców włościańskich. Na szczególną uwagę zasługuje wiec, który się odbył w Baranowie, na pograniczu Królestwa kongresowego. Przybyło na zebranie z górą 300 włościan i mieszczan nietylko z powiatu tarnobrzeskiego, ale i od Kolbuszowej i od Mielca. Zagaił zgromadzenie włościanin Wacyra następującem przemówieniem :

»Rusza się lud w całym kraju, oświata rozgrzewa zbolałe w niewoli serca. My tu przy słupach granicznych tym wytrwalej pracować powinniśmy, mając codziennie przed oczyma nieszczęsny podział naszej ojczyzny. Jak kogut na kościele przywołuje nas do czujności względem pracy nad zbawieniem duszy, tak opodal chodzący za Wisłą żołdak moskiewski niech nam przypomina obowiązki względem ojczyzny. Oświatą ją zdobędziemy, więc gromadźmy się i oświecajmy, nie dbając na przykrości, jakich doznajemy od tych, co już zgodzili się na wszystko«.

Pomijamy przebieg wiecu i uchwały, podobne do postanawianych zwykle na tego rodzaju zgromadzeniach, musimy jednak zaznaczyć przemówienia dwóch włościan, równie znamienne, jak przemówienie Wacyry.

Z widocznem wzruszeniem, tłumiąc łzy, dziękował stary chłop Benc młodszym za pracę gorliwą nad uświadomieniem ludu. »Gdy widzę, co się teraz robi, i porównam z tem, co dawniej było, to rośnie we mnie starym serce i wiara, że przyjdzie wnet chwila wyzwolenia ludu polskiego z niedoli i że dzieci moje oglądać będą wolną Polskę bez panów«.

Inny znowu gospodarz zachęcał obecnych do czytania pism ludowych i dowodził, że zakazy niektórych księży nie mają żadnej podstawy, na dowód zaś tego, przytoczył wypadek następujący. Kiedy w swoich wędrówkach po Królestwie dawał pewnego razu włościanom *Przyjaciela ludu*, spotkał się z tamtejszym księdzem, który nietylko nie potępił go za rozszerzanie zakazywanego w Galicyi pisma, ale przeciwnie, serdecznie go uścisKał i podziękował.

Z KRESÓW.

= *Walka z prasą polską na Śląsku pruskim.* Walka germanizatorów duchownych z polską prasą katolicką przybiera coraz ostrzejszy charakter. Dotychczasowe próby zgnębienia pism niezależnych, odważnie broniących interesów narodowych — nie dały żadnego rezultatu, a raczej dały rezultat inny, niż ten, jakiego się klika księży niemieckich spodziewała. Ani ostrzeżenia z kazalnic, ani umyślnie wydawane po polsku gazetki, współzawodniczące z pismami niezależnemi, nie zrobiły tym ostatnim a zwłaszcza *Katolikowi*, przeciw któremu ataki głównie były wymierzone, żadnej szkody. Teraz germanizatorowie obmyślili nowy środek dokuczenia znienawidzonemu przez nich pismu. Po powrocie z Rzymu kardynał Kopp, biskup wrocławski przysłał do redakcyi *Katolika* następujące pismo:

»Stolica Apostolska zauważyła niemile, że katolickie gazety umieszczają regularnie na czele pisma udzielone im przez Jego Świątobliwość Ojca św. błogosławieństwo Apostolskie. Najlepszą reklamą dla gazety katolickiej jest wierne trzymanie się Kościoła św. i to też zawsze będzie katolickich czytelników przyciągało i zdobywało. Z tego powodu większe katolickie gazety n. p. »Germania« nie korzystają publicznie z takiego uznania ze strony Kościoła.

W porozumieniu z sekretaryatem stanu Jego Świątobliwości upraszam przeto szanowne redakcye katolickich gazet mojej dyecezyi, ażeby zaniechały przytaczania błogosławieństwa apostolskiego, tak tego, które już otrzymały, jak i tego, któreby w przyszłości otrzymać miały. Nie mam jednakże nic przeciwko temu do nadmienienia, ażeby celem uniknienia fałszywego tłómaczenia tej sprawy, stało się to nieznacznie (allmählig).«

Podobnej treści listy otrzymały i niemieckie pisma katolickie, ale dla ludzi znających sprawy śląskie, widocznem jest że biskup Kopp starając się w Rzymie o polecenie usunięcia błogosławieństwa przedewszystkiem miał na względzie *Katolika*, bowiem umieszczane na czele każdego numeru błogosławieństwo dwóch papieży wskazywało, że napaści na pismo księży germanizatorów są niesłuszne.

Katolik nie skorzystał z łaskawej rady, żeby nieznacznie błogosławieństwo usunąć, przeciwnie, wydrukował list biskupa i objaśnił czytelnikom całą sprawę, a w nagłówku numeru zamiast błogosławieństwa papieskiego postawił hasło: »Za wolność, wiarę i prawo!«

Ruch narodowy na Śląsku powstał, zdaniem Niemców, pod wpływem »agitacyi wielkopolskiej«, widocznie jednak nie mogła ta agitacya wszystkich objawów jego wytłómaczyć, więc wynaleziono teraz współdziałającą z nią »agitacyę galicyjską«. Odkrycie to zrobił p. Bosse, a następnie *Breslauer Ztng* dodała komentarz, że na wybory w okręgu pszczyńsko-rybnickim wpływał ks. Stojałowski za pomocą gazetek, wydawanych w Cieszynie Pisma polskie zbiły to kłamstwo, zaznaczając, że pism ks. Stojałowskiego przychodzi na Śląsk pruski zaledwie kilkanaście egzemplarzy i to niemal wyłącznie do obwodu przemysłowego, i że w tych gazetkach była tylko krótka wzmianka o wyborach w pomienionym okręgu.

Ale wykazanie kłamstwa Niemców nie przekona, bo nie chcą uznać faktu, że lud na Śląsku jest i chce być polskim i wzrost jego świadomości przypisują agitacyi ze strony. »Sto razy więcej powinno być agitacyi polskiej — mówi *Katolik*, kiedy niemczyzny jest tak wiele i taka mocna. Wszędzie powinny odbywać się zebrania, na których mówcy zachęcaliby Polaków, aby pozostali Polakami. Broszury i pisma polskie powinni rozrzucać agitatorzy. Związki polskie powinny więcej się ruszać, działać, agitować, członków nowych przyciągać, wiele książek polskich utrzymywać. Czemu to nikt nie zakłada księgarni, która by tanio wypożyczała książki polskie, jak niemieckie »leihbibliotekí« wypożyczają niemieckie. Skoro się Polacy sami nie będą niemczyć, to i nauka religii będzie po polsku. Więcej agitacyi!«

Kto pamięta z niezbyt dawnych czasów *Katolika* jak był powściągliwym, nawet lękliwym w zdaniu, jak ważył każde słowo — ten zdziwi się śmiałości i szczerości jego wystąpienia. Pismo liczyło się z rozmaitymi względami i robiło niejednokrotnie ustępstwa dobrowolne. Nic to jednak nie pomogło, *Katolik* ściągnął na siebie niechęć germanizatorów, którzy zaczęli z nim toczyć walkę zawziętą, nie przebierając w środkach. W tej walce pismo wypróbowało hart swój i wierność swoich czytelników, a przekonawszy się, że stoi na silnej podstawie, śmiało poszło naprzód.

Jest to jeden dowód jeszcze, że zaciekłość niemiecka przyczynia się znakomicie do rozbudzenia i wzmocnienia świadomości narodowej.

= *Muzeum śląskie w Cieszynie.* Ks. Świeży, poseł śląski do Rady państwa wydał, jak zaznaczyliśmy w numerze poprzednim odezwę, wzywającą do składania rozmaitych przedmiotów w celu utworzenia »Muzeum śląskiego«. Z odezwy tej przytaczamy następujący urywek:

»Teraz zmiany i przewroty daleko szybciej po sobie następują, niż dawniej, i daleko gruntowniej życie przekształcają. W taki sposób w niedalekiej przyszłości życie w niejednym razie nie będzie miało podobieństwa z życiem dawniejszem i nie będziemy mieli ani pojęcia, jak nasi przodkowie żyli. Dlatego postanowiło »Dziedzictwo błog. Jana Sarkandra« zbierać takie przedmioty, które mogą nam przedstawić życie przodków i dać o niem wyobrażenie i utworzyć z tych przedmiotów muzeum. Takich starożytnych przedmiotów jeszcze dużo znaleść można między ludem: np. stare rogowe lub drewniane łyżki, drewniane i gliniane miski, pasy, różne narzędzia, rolnicze i rzemieślnicze, skrzynki do przechowywania pieniędzy i dokumentów, stare ubiory, np. czepce złotem wyszywane, białe chustki z wyszywaniami, stare książki, obrazki, broszurki, odezwy wyborcze, pieśni śpiewane przy różnych okolicznościach i t. p. Czasem także w ziemi ludzie ciekawe przedmioty, mianowicie z kamienia znajdują. Te przedmioty zwykle z czasem marnie giną«.

Z Gwiazdki cieszyńskiej dowiadujemy się, że ludność śląska składa dosyć chętnie rozmaite przedmioty, a i z innych prowincyi Polski zaczęto już nadsyłać dary. Nie wydaje nam się jednak właściwem łączenie »Muzeum« z. »Dziedzictwem błogosławionego Jana Sarkandra«, które jest instytucyą wyłącznie katolicką. Istnieje w Cieszynie »Towarzystwo Domu narodowego«, które zebrało około 20.000 zł. Celem tego towarzystwa ma być zbudowanie »Domu narodowego«, który obecnie niebardzo jest potrzebny. Należałoby więc zastanowić się, czy nie możnaby sumy tej przeznaczyć na Muzeum, które zresztą niechajby się w ostateczności nazywało »domem narodowym«. Towarzystwo znalazłoby wtedy jakiś cel użyteczny, którego dziś nie ma i fundusz wzrastałby prędzej, bo na taką instytucyę jak Muzeum chętniej dawaliby ludzie, aniżeli na przedsięwzięcie, chybione w pomyśle i nie przedstawiające się wyraźnie. »Towarzystwo Domu narodowego« z każdym rokiem widocznie upada, członkowie jego nic nie robią, nawet na zgromadzenie walne przychodzi zaledwie *sześć* osób, dochody stopniowo upadają. W r. 1892 dochód ogólny wynosił 4.741 zł. 88 ct., w r. 1893 — 2.508 zł. 75 ct., w r. 1894 — 1699 zł. 15 ct., w r. 1895 już tylko około 900 zł. Ostatnia cyfra nie jest dokładną, bo sprawozdania nie ogłoszono. W r. b. dochód będzie zapewne taki sam, t. j. nie wiele przeniesie odsetki od kapitałów.

Jeżeli tak dalej iść będzie, a wątpić wolno czy może być lepiej — »Dom narodowy« stanie chyba za 50 lat, tymczasem Muzeum niewątpliwie zyskałoby poparcie materyalne na Śląsku i w całej Polsce.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

Chicago, w kwietniu.

Prąd przeciwpolski w Stanach. Wystąpienie Johnsona. Projekt Lodge'a. Mityng polski w Chicago.

Ostatnie wypadki pouczają nas, iż do Stanów Zjednoczonych, których obywatele z taką pogardą patrzą na starą Europę, coraz bardziej poczynają przenikać idee i hasła europejskie, nadając ton tutejszemu, zorganizowanemu na nowych zasadach życiu. Zjawisko to, dość zresztą naturalne, nie zawsze jest pożądane, jak się bowiem okazuje, może się fatalnie odbić na rozwoju tutejszych kolonii polskich.

Społeczeństwo amerykańskie, dzięki licznej imigracyi europejskiej coraz mniej cierpiące na brak rąk do pracy, coraz mniejszą gościnność poczyna okazywać obcym przybyszom. Póki każda nowa para rąk była dobrodziejstwem dla mało ludnego, a szybko postępującego kraju, póty dobrym był każdy przybysz bez względu na wyznanie i narodowość. Dziś, gdy potrzeba w tym kierunku jest mniejsza, gdy przybywający robotnik mniej jest cennym, a czasem wprost niepożądanym, gdyż oddając swą pracę za niskie wynagrodzenie, staje się niebezpiecznym współzawodnikiem dla ludności miejscowej, dotychczasowy gościnny gospodarz poczyna drzwi coraz bardziej przymykać i przebierać w przybyszach, kierując się rozmaitymi względami. Zaczynają występować nietylko pobudki ekonomiczne, ale wyznaniowe i narodowościowe, zaczyna się coraz bardziej ujawniać dążność do ujednostajnienia ludności Stanów, do zrobienia całej rzeczypospolitej protestancką i angielską. Z pośród objawów tej dążności zajmuje nas z natury rzeczy przedewszystkiem prąd przeciwpolski, ujawniający się w Stanach coraz bardziej i wypowiadający się ostatnimi czasy w publicznych wystąpieniach oraz we wnioskach prawodawczych.

W marcu r. b. *congresman* L. Johnson z Sacramento wypowiedział w kongresie mowę, w której postawił wniosek zamknięcia portów Stanów Zjednoczonych dla imigracyi polskiej, motywując go tem, że Polacy i wogóle Słowianie stoją najniżej ze wszystkich narodowości amerykańskich pod względem kulturalnym, że równie niską jest ich moralność, że wreszcie trzymają się w odosobnieniu, ograniczają się do własnych kółek, nie uczą się języka angielskiego i są nieprzychylni rządowi Stanów. Cóż, prawda, jak to przypomina starą matkę-Europę z jej Prusakami i ich uczniami Moskalami?

W tymże miesiącu senator Lodge z Massachusets wystąpił z podobnymi przeciw nam zarzutami w senacie, kładąc nacisk na to, że Polacy gromadzą się po miastach, nie osiadają na fermach, i posiłkując się fałszywemi cyframi, mającemi dowodzić, że dostarczają oni większej liczby przestępców kryminalnych od innych narodowości. Wystąpił on z wnioskiem, ażeby nadal dopuszczać do Stanów tylko wychodźców, umiejących czytać i pisać przynajmniej w swoim ojczystym języku. Wniosek ten jest, naturalnie, wymierzony przeciw ludom romańskim i słowiańskim, posiadającym znacznie więcej od rasy germańskiej analfabetów.

Należało się spodziewać, że podobne wystąpienia i projekty wywołają silny ruch w koloniach polskich i dadzą powód do odpowiedniej reakcyi. Początki tej reakcyi nie dały długo na siebie czekać.

Pierwszy poważniejszy krok zrobił tutejszy Związek Młodzieży Polskiej. Z jego inicyatywy odbył się d. 9 kwietnia w Hali Pułaskiego w Chicago mityng polski, mający na celu protest przeciw oszczerstwom, rzucanym na nasz naród. Hala była zapełniona licznie zgromadzoną publicznością.

Po przemówieniu paru mówców polskich, odpierających wzmiankowane wyżej zarzuty, zabrał głos po angielsku sędzia Cavanagh. Oświadczył on, że jako Irlandczyk z pochodzenia, czuje żywą sympatyę dla Polaków, którzy tak samo, jak jego rodacy, są uciskani i prześladowani. Położył nacisk na to, że naród polski, który wydał Kościuszkę i Pułaskiego, mężów tak wysoce dla Ameryki zasłużonych, powinien być tu wolny od wszelkich napaści i wy-

raził swe oburzenie z powodu ostatnich wystąpień. Mówca w końcu oświadczył, iż Polacy są jednym z najdzielniejszych narodów świata i że miejsca w żadnym razie na nowym lądzie dla nich nie zabraknie.

Po przemówieniu tem, przyjętem oklaskami, zabrał głos przedstawiciel Czechów i, potępiwszy oszczerstwa, nawoływał Polaków i Czechów do wzajemnej pomocy.

Przemawiali następnie p. p. Jabłoński, redaktor *Zgody*, który zwrócił uwagę na wdzierający się wszędzie wpływ Rosyi w stosunkach międzynarodowych, oraz Nagiel, redaktor *Dziennika chicagowskiego*, który wykazywał właściwe motywy projektu Lodge'a i wzywał do agitacyi, któraby wywarła wpływ na uczciwą opinię amerykańską.

Po dwóch jeszcze przemówieniach — z tych jedno było litewskie — zgromadzenie uchwaliło szereg rezolucyi, protestujących przeciw oszczerstwom i prostujących fałszywe argumenty amerykańskich polakożerców. Podajemy tu ostatnią, dotyczącą stosunku Polaków do Stanów Zjednoczonych:

»Ani kongresman Johnson ani sen. Lodge nie znajdą polskiego domu, w którymby angielskiego języka nie posiadano albo nie znano, a że Polacy starają się wypełnić jak najlepiej swe obowiązki względem rządu i kraju, jako obywatele, świadczy ich dbałość o dobrobyt tegoż kraju przez płacenie podatków bezpośrednich i pośrednich, szanowanie władz i praw tutejszych, oraz uznawanie tychże. Gdyby kongr. Johnson i sen. Lodge znali historyę Stanów Zjedn., wiedzieliby, że Polacy byli jednymi z pierwszych przedstawicieli obcych narodowości, którzy pośpieszyli na pole bitwy walczyć za wolność tego kraju, bezinteresownie, nie licząc na nagrodę. Wymaganie zaś kongresmana Johnsona i sen. Lodge, ażeby Polacy wyparli się swej narodowości i języka, jest potworne. Polak może być jednym z najlepszych obywateli Stanów Zjedn., ale nie potrzebuje się wyzuwać ze swej narodowości. — Uznajemy błogosławieństwa, spływające na obywateli, zamieszkujących Stany Zjednoczone, jesteśmy gotowi w razie potrzeby nietylko majątkiem, ale i krwią naszą bronić całości tychże Stanów i wypełnić obowiązki obywatelskie, — ale nie wyrzekniemy się swego pochodzenia, nie staniemy się renegatami względem naszej dawnej, obecnie w ciężkiej niewoli rozbiorowych rządów pozostającej ojczyzny. Jesteśmy dobrymi obywatelami Stanów Zjedn. i jako tacy, wypełnimy swoje obowiązki, po za tem nie przyznajemy prawa nikomu dyktowania nam, co i jak mamy czynić. Trzymając się tych zasad, musimy się łączyć ze sobą i dbać o to, ażeby nasza narodowość nie zamarła; ale to jeszcze dla ludzi światłych i rozumnych nie jest dowodem, ażeby ludność polskiego pochodzenia była źle usposobioną dla Stanów Zjedn., ażeby Polacy mieli być złymi obywatelami tego kraju.«

Należy się spodziewać, że po zgromadzeniu w Hali Pułaskiego nastąpi cały szereg innych, zwołanych w tym samym celu. W stosunkach tutejszych podobnymi środkami wiele można osiągnąć. *P.*

= *Skarb Narodowy.* Ukazało się trzecie z rzędu sprawozdanie z czynności komisyi nadzorczej i funduszów Skarbu Narodowego. Poprzedza je słowo wstępne, w którem Wydział wykonawczy Związku Wychodztwa Polskiego wzywa rodaków w kraju do popierania Skarbu. Pierwsze ustępy poświęcone są rzutowi oka na rozwój instytucyi.

»Z chlubą i pewną dumą — powiada odezwa — możemy to zaznaczyć, że i myśl założenia Skarbu Narodowego, i wprowadzenie jej w czyn jest zasługą emigracyi. Od niej pochodzą pierwsze sumy, które były fundamentem Skarbu; naczelną władzę — Komisyę Nadzorczą postawił Związek Polski w Szwajcaryi, a sankcyę prawomocności nadał organizacyi Skarbu Związek Wychodztwa Polskiego przez ogłoszenie »Ustawy«, przyjętej na skutek powszechnego głosowania w r. 1892.

»Narówni z europejską przyczyniła się i w wysokim stopniu wciąż się przyczynia do wzrostu środków i znaczenia Skarbu emigracya nasza w Stanach Zjedn. Ameryki Północnej. W sprawozdaniu pierwszem podaliśmy, że rodacy w Ameryce mają zebranych około 11 tysięcy dolarów, a już w drugiem część tych funduszów zaliczoną została do sum Skarbu, ponieważ »Zjednoczenie Polaków w Ameryce« pod przewodnictwem ob. Erazma Jerzmanowskiego w styczniu r. z. przelało z górą 34 tysiące franków do depozytu Rapperswylskiego. W r. b. »Zjednoczenie« nadesłało jednorazowo około 17.000 franków, a od Oddziału Półn. Ameryk. Skarbu Narod. w Rapperswylu za pośrednictwem Komisarza Sk. na Amerykę przez rok wpłynęło 15.000 franków.

»Oprócz powyższych ognisk poborów istniał jeszcze w Stanach Zjedn. Skarb (milwaucki), pozostający pod opieką Związku Nar. Pols., lecz i ten we wrześniu r. z. na sejmie XI (w Cleveland) dzięki patryotycznej i jednomyślnej uchwale delegatów od grup związkowych został również przyłączony do Skarbu głównego«.

Z kraju wpłynęło bardzo mało: »kilka tysięcy z zaboru rosyjskiego, około dwóch z austryackiego, a trzecia dzielnica żadnego prawie dotąd udziału nie wzięła w popieraniu Skarbu«.

Wobec wznowienia przerwanych dotychczas poborów w zaborze rosyjskim Wydział spodziewa się szybkiego rozwoju instytucyi.

Według sprawozdania komisyi nadzorczej, rok 1895 należy uważać za szczególnie pomyślny.

»Od chwili ogłoszenia sprawozdania poprzedniego znacznie więcej niż $1/3$ sum ogólnych wpłynęła do Skarbu, przytem już w lipcu r. z., a zatem przed zjazdem Komisyi Nadzorczej, fundusze skarbowe dosięgły wysokości 100.000 fr., odsetki więc od nich stały się rozporządzalnemi Od daty tej Skarb Narodowy Polski stał się instytucyą nietylko gromadzącą środki, lecz także popierającą obronę czynną.«

»W ciągu r. z. — mówi dalej sprawozdanie — obok zwykłej czynności odbierania raportów o kwotach, do depozytu Rapperswylskiego wpływających, Komisya Nadzorcza, w porozumieniu i na skutek projektu Komisarza Skarbu Narodowego na Amerykę Północną, ob. Er. J. Jerzmanowskiego, zamianowała kilkudziesięciu Podkomisarzy w Stanach Zjednoczonych. Działalność Ob. Podkomisarzy dała w rok niespełna rezultaty bardzo dobre, gdyż do dnia 31 stycznia r. b. od »Oddziału Półn.-Amerykańskiego Skarbu Narod. w Raperswylu« wpłynęło 15.000 fr. z górą.«

W dalszym ciągu sprawozdanie mówi o zeszłorocznym zjeździe członków komisyi w Raperswylu, o którym w swoim czasie pisaliśmy oraz o rozporządzalności funduszów.

»Rozpatrzywszy nadesłane podania, komisya zadzorcza po dokładnem i sumiennem zbadaniu przedstawionych jej sprawozdań, dowodów i dokumentów, wypłaciła w myśl § 21 i 22 »Ustawy Skarbu Narodowego Polskiego«, dwie trzecie procentów rocznych w ilości 2.448 fr. 70 c.«

Z zestawieniu cyfr wynika, iż do d. 31 stycznia r. b. znajdowało się w depozycie w Rapperswylu 127.892 fr. 50 c., do której to sumy należy dołączyć 3.414 dolarów 47 ct., złożone w depozycie Zw. Nar. Polskiego w Ameryce, cały zatem fundusz Skarbu wynosił z górą 144.964 franki.

Skład Komisyi Nadzorczej Skarbu jest następujący:

Prezes-Sekretarz: Zygmunt Miłkowski, 12, rue de Candolle, Genève. Wiceprezes: Dr. Henryk Gierszyński Ouarville, p. Santeuil (Eure-et-Loire), France; Członkowie: Ob. Erazm J. Jerzmanowski, w Nowym-Yorku: Dr. Zygmunt

Laskowski, w Genewie; Dr. Karol Lewakowski, we Lwowie. Członkowie zastępcy: Dr. Hipolit Obrycki, w Paryżu; Dr. Ernest Adam, w Krakowie.

= *Polacy w Westfalii.* Stosunki pomiędzy licznie nagromadzoną w Westfalii ludnością polską a duchowieństwem zajątrzają się z dniem każdym. W krótkim przeciągu czasu czytamy drugie już »oświadczenie«, poparte sporą liczbą podpisów. »Oświadczenie« zaznacza, że z waśni korzystają jedynie socyaliści, których pisma miały jeszcze niedawno tylko 5 a teraz mają 76 prenumeratorów między Polakami w tych stronach. Franciszkanin o. Andrzej, człowiek nie tyle może zły, ile gwałtowny, wyprawia awantury w towarzystwach polskich, wymyśla Polakom z ambóny, wyrzuca z czytelni książki polskie i t. d. Należy temu zapobiedz, ale drukowanie w pismach »oświadczeń« do niczego nie doprowadzi. Od samego początku, kiedy zakładano pierwsze towarzystwa polsko katolickie, popełniono błąd, dopuszczając księży do czynnego w sprawach publicznych udziału i powierzając im przewodnictwo. Błąd ten mści się teraz na tych ludziach, których doświadczenie nauczyło dopiero, że sprawy narodowe należy oddzielać od religijnych, oddzielać tam zwłaszcza, gdzie duchowieństwo nie jest czysto polskiem.

Trzeba dodać, że w tej waśni sporą rolę grają niesnaski między Franciszkanami a duchowieństwem świeckiem. Koniecznem byłoby uregulowanie tej sprawy, ale nie ma do kogo się odwołać, a Polacy sami, należący przeważnie do ludności ubogiej, zajętej ciężką pracą, nie mogą dać sobie rady z awanturami, przez kilku księży wyprawianemi.

Ks. Wiśniewski, obecnie proboszcz w Kolniczkach w W, Ks. Poznańskiem, który w r. ub. był w Dortmundzie, pisze: O. Andrzej chce germanizować, przynajmniej jest zwolennikiem germanizacyi na wzór niektórych księży na Śląsku i w Prusiech zachodnich. Wiem teraz, że on, by celu swego dopiąć najrozmaitszych używa środków, wyboru nie robiąc między godziwymi a niegodziwymi«.

Na to O. Andrzej odpowiada na 4 arkuszach, że list ks. Wiśniewskiego »pełen jest oszczerstw i twierdzeń nieprawdziwych» i t. p.

Na walce tej cierpią przedwszystkiem towarzystwa polskie. Drugi Franciszkanin, O. Kamil gorliwie pomaga towarzyszowi w wywoływaniu niesnasek, w Höntrop rozkazał np. zabrać natychmiast z kościoła chorągiew towarzystwa grożąc, że wrzuci ją w rynsztok. W Habinghorst O. Andrzej zaaresztował szafę z książkami i Polacy tamtejsi od kilku tygodni czytać nie mogą.

Najgorszym wszakże skutkiem tej waśni jest intrygowanie wymienionych księży przeciw *Wiarusowi polskiemu*, który łaski ich stracił.

PRZEGLĄD PRASY POLSKIEJ.

= *Dziennik poznański* ubolewa, że Polacy muszą dziś powiedzieć o sobie, jak niegdyś Niemcy ustami Moltkiego »nie lubią nas«. Na każdym kroku doświadczamy dziś zmiany w usposobieniu opinii publicznej względem nas:

Czasy, w których byliśmy rozpieszczonymi gagatkami zachodnich narodów, dawno minęły bodaj bezpowrotnie. Wprawdzie i dawniejsza ku nam życzliwość innych społeczeństw była właściwie tylko platoniczną, nie przynosiła nam żadnej faktycznej korzyści, — lecz była, istniała, — i stanowiła przynajmniej pociechę, tanią coprawda, w utrapieniach naszych. Dzisiaj i tę sympatyę tracimy, a nawet już ją straciliśmy zupełnie prawie, bo jeśli gdziekolwiek jeszcze bije dla nas, to zakrywają ją tak szczelnie przeciwne względy polityczne, że po za nimi dopatrzeć jej się trudno.

Zaznaczywszy, że nawet w Ameryce odzywają się przeciw nam głosy niechętne, *Dziennik* tak dalej pisze:

„Społeczeństwo nasze słuszniej więc jeszcze niż społeczeństwo niemieckie powiedzieć sobie musi: „Nie lubią nas". Dla Niemców okazują bowiem jeszcze inne narody przynajmniej pozorną, udaną życzliwość i przyjaźń nakazaną względami politycznymi, nam i tej brakuje, bo komuż może chodzić o przychylność narodu, który wzamian za sympatyą mu okazywaną nic dać nie może? Jesteśmy izolowani najzupełniej, opuszczeni nawet przez tych, na których względem nas ciąży dług wdzięczności za dawne przysługi. Zadawane nam ciosy nie budzą już w innych krajach nawet najmniejszego zajęcia, prasa tamtejsza referuje o nich ledwie tylko z obowiązku dziennikarskiego, a czytelnicy wzruszają ramionami, jeśli wogóle jeszcze raczą dotyczące nas wiadomości przeczytać. Życzliwsze dla nas głosy odzywają się coraz rzadziej i są tylko wynikiem usposobienia jednostek".

„Tę obojętność obcych narodów względem nas możnaby poniekąd włożyć na karb dzisiejszego ducha czasu, na wskróś zmateryalizowanego, ale obok tego musi ona mieć i inne przyczyny, nad którymi warto się zastanowić".

Zamiast rozwodzenia daremnych żalów należałoby raczej wyjaśnić te przyczyny i zastanowić się nad niemi.

Podstawą stosunków przyjaznych i sympatyj zarówno między narodami jak między jednostkami jest albo wspólność interesów, albo wspólność dążeń idealnych, najczęściej zaś wspólność jednych i drugich. Nie można powiedzieć, że dawniejsza życzliwość dla nas była tylko »platoniczną«. Przed 50 laty Polska była strażą przednią w wielkiej walce wszystkich ludów o wolność narodową i prawa polityczne, a całe nasze społeczeństwo, z małymi wyjątkami było jakby jednym obozem, w każdej chwili gotowym do boju w tej wspólnej sprawie. Nic dziwnego, że nawet Niemcy liberalni okazywali nam współczucie, dobrze bowiem rozumieli, że walka narodowa Polaków z ówczesnem trójprzymierzem Rosyi, Prus i Austryi jest zarazem walką o wyzwolenie Europy i ich samych z ucisku reakcyi politycznej. Oprócz więc naturalnego dla walczących za wolność współczucia, był również interes polityczny świadomą lub bezwiedną pobudką do okazywania nam przyjaźni.

Dziś opinia publiczna w Europie przyzwyczaiła się w nas widzieć dobrowolnych szermierzy i obrońców wszelkiej reakcyi. Zarzuty, wymierzane nam z tego powodu, nie zawsze są uzasadnione, bo sojusz z t. zw. żywiołami wstecznymi był nieraz koniecznym ze względu na interes narodowy. Ale widomi przedstawiciele naszej polityki zrobili z tej konieczności zasadę i zaczęli ją stosować we wszystkich sprawach. Czy polityka Kół naszych w Berlinie, a zwłaszcza w Wiedniu nie jest istotnie reakcyjną, czy może budzić w kimkolwiek sympatye, chociażby tylko platoniczne? Nigdy żywioły reakcyjne nie były i nie mogą być nam przyjaznymi, a wolnomyślne nie mają z polityką naszą, że tak powiemy, urzędową, ani wspólnych interesów, ani wspólnych dążeń.

Nietylko interesy narodowe pokrzyżowały się w dobie dzisiejszej, jak zaznacza *Dziennik poznański*, ale pokrzyżowały się także interesy społeczne. Te ostatnie w polityce naszej wystąpiły na plan pierwszy, samolubne dążenia klasowe zapanowały nad dążeniami narodowemi.

Ale jest inna jeszcze polityka polska, dzięki której utrzymują się dotąd te resztki sympatyj, jakie tu i ówdzie w Europie zostały. Są bowiem i dziś stronnictwa, które rozumieją, że sprawa polska jest pomimo nadanych jej pozorów, walką nietylko za naszą, ale i za ich wolność i że łączy je z nami wspólny interes realny, którym jest złamanie lub osłabienie potęgi Rosyi, głównej twierdzy reakcyi politycznej i społecznej.

= W ostatnich czasach pisma polskie w zaborze pruskim, nawet ludowe i gorliwie katolickie, coraz ostrzej występują przeciw zapędom germanizacyjnym części ducho-

wieństwa. Oto w jaki sposób przemawia n. p. *Gazeta toruńska:*

„Niebezpieczniejszem tej walki kulturnej jest wydanie drugie, t. j. z przyłbicą spuszczoną; to walka podstępna, niby polowanie z zasadzki, bo rzekomo tylko wojna niemieckości przeciwko polskości. Niebezpieczniejsza to w Prusach dla Kościoła walka, ponieważ wciągnięto do niej i naszych współwyznawców niemieckich w ogóle, a w szczególe: wyższej i niższej godności kapłanów narodowości niemieckiej.

„Sprawiedliwość każe zaznaczyć, jak nasi niemieccy współwyznawcy, nieduchowni, niechętnie — wyjąwszy kilku redaktorów i urzędników — pozwalają się zaciągać do krucyaty przeciwko polskim swym współwyznawcom.

„Chwała im za to! lecz któż zdoła pojąć tak smutne zjawisko, że tak liczni duchowni narodowości niemieckiej, wyżsi i niżsi, pomazańcy Chrystusa, „urodzeni ojcowie i przewodnicy ludu", pasterze nie sromają się przed Bogiem i całym światem wysługiwać się w tej wojnie przeciwko własnym nieraz — polskim — owieczkom! — Historya napiętnuje ich czasu swego, nie czernidłem, lecz łzami, mianem: Herodów, Kainów, Iskaryotów. Tłuste plebanki, karyery „lulają" krzyczące sumienie.

„Księża germanizatorzy obruszają się, jeżeli się na nich w pismach użalamy, bo podług ich zdania „nie godzi się, nie wolno, jest grzechem nicować kapłanów". O! co za dbałość o „nietykalność" sługi Bożego Swoją wrażliwością chcą nam usta zamknąć, gdy je nam nadmierna boleść gwałtem otwiera. „Sukienka duchowna" ma ich zasłonić przed słuszną naganą, podczas gdy oni właśnie pod zasłoną szaty kapłańskiej tyle niegodziwości narodowo religijnych popełniają.

„Znam parafii, gdzie rzeczywiście ani jednego nie ma Niemca katolika, a księżulek czyta ewangelią także po niemiecku, z własnego popędu miewa kazanie niemieckie; inny dobrodziej — z rozkazu władzy duchownej, jeżeli ktoś sobie tego życzył, za miast oprzeć się energicznie podobnym zachciankom gorszącym i krzywdzącym całą parafię.

„Znam proboszcza Niemca, który w czysto jak kryształ polskiej parafii 40 dzieci przyspasabiał do Sakramentów św. w języku niemieckim w roku przeszłym, 2 tylko po polsku na śmiałe żądanie rodziców!

═ Korespondent berliński *Gońca wielkopolskiego*, wyjaśniwszy dlaczego p. Czarliński nie znalazł poparcia w sejmie pruskim w sprawie wniosku duńskiego, tak dalej pisze:

„Nad brakiem jednolitego postępowania naszych posłów, nad brakiem konsekwencyi, nieraz po cichutku dziwicie się na prowincyi, nie umiecie sobie jednak wytłómaczyć, dlaczego raz n. p. głosują za marynarką, to znowu wstrzymują się od głosowania i t. p.

„Brak ten konsekwencyi wytłómaczyć można tem, tylko, że są w Kole dwa prądy Część posłów idzie drogą, jak tu mówią, wskazywaną przez ks. Arcyb. Stablewskiego i p. Kościelskiego i twierdzi, jak poseł Dziembowski w „Kuryerze" w owym sławnym artykule, który był napisał, że nie tracimy nic na godności, wyciągając ciągle rękę do zgody z rządem, głosując za jego wnioskami, popierając rząd quand même. Część ta posłów jest w parlamencie n. p. faktycznie w mniejszości, ale jest reprezentowana przez książąt Czartoryskich i Radziwiłła, pp. Chłapowskiego, Dziembowskiego, Kwileckiego, Komierowskiego, Cegielskiego, ks. Jażdżewskiego, którzy na czas o ważnych posiedzeniach Koła uwiadomieni, stawiają się punktualnie, i jak jeden mąż głosują za daną z góry dyrektywą.

„Druga część posłów, reprezentowana przez pp. Czarlińskiego, Wolszlegiera, Połczyńskiego, Kalksteina, Różyckiego, Krzymińskiego, Kubickiego, Ślaskiego, dr. Rzepnikowskiego, Ks. Wolszlegiera jest wprawdzie w większości, ale nie uwiadamiana na czas o posiedzeniach Koła, spóźnia się na posiedzenia, albo nie będąc w Berlinie, ulega raz po raz mniejszości, stojącej w zwartym szeregu.

„Część ta posłów pojmuje godność narodową inaczej, rozumuje, że po otwartych wystąpieniach pana Bossego powinni Polacy dać uczuć rządowi, że się z nimi liczyć musi, że powinni to wywalczyć, czego wyprosić nie mogą.

„Ztąd pochodzi, że Koło raz ustanawia jednym głosem większości głosowanie za marynarką, to znowu jednym albo dwoma głosami wstrzymuje się od głosowania.

„Niekonsekwencya taka jest a la longue niemożliwą. Czas, panowie delegaci, już teraz pomyśleć o wyborze równomyślących posłów, czas pomyśleć o wyborze ludzi reprezentujących wolę większości narodu, a nie polityczne mrzonki jednostek i ich aspiracye.

Bardzo słusznie, ale co robić, jeżeli pp. delegaci tej rozumnej rady nie posłuchają? W takim bowiem wypadku jedynie skutecznym środkiem może być tylko zerwanie solidarności, którego *Goniec* tak się obawia. I o tem więc należałoby zawczasu pomyśleć i stanowczo zdanie swoje wyrazić, coby i na delegatów pewien wpływ wywarło.

═ W korespondencyi z Białej Rusi do *Słowa polskiego* znajdujemy ciekawe szczegóły o księżach t. zw. rytualistach, to jest tych, którzy w nabożeństwie dodatkowem zaprowadzili język rosyjski:

„Upadek księży u nas coraz większy — zacniejsi na wyguaniu, broniący swej niezawisłości sumienia bez stanowiska, a parafie bez pasterzy. Biskupi zaradzić temu nie mogą. Tylko księża, szerzący wraz z Moskwą demoralizacyę i rozbudzający wstręt wśród katolików swem zachowaniem, otwarcie namawiający do odstępstwa, mają opiekę sfer rządzących. Stary, nad grobem stojący Makarewicz w Mińsku, Łukaszewicz w Borychownem, Olechnowicz w Bobrujsku, Berłowicz w Ihumeniu, Jurgiewicz w Klecku zadziwiają swym cynizmem nawet Moskali, a czynią to dla pieniędzy i wyuzdania.

„Nieczyste sumienie trwogą przejmuje odstępców — mam właśnie pod ręką tego dowód. Dokument dostał się w moje ręce wypadkiem. W sklepiku żydek kupiony przezemnie towar zawinął w papier, o którym mówię. Dziekan ihumeńskiego dziekanatu, ks. Wojczyński, zamieszkały w miasteczku Berezynie, w piśmie N. 1329 z 31 października 1895 roku odpowiada na wezwanie prystawa Łukjanienko (urzędnik w randze naszego komisarza policyi. przyp. Red.), że nie może stawić się w oznaczonym terminie w Błażeńskiej parafii dla odebrania przysięgi od katolików na wierność carowi, a to dla złego stanu zdrowia i podeszłego wieku, „a co najważniejsza, dodaje on, że nie mam nadziei, abym mógł mieć ze strony policyi zapewnione dla siebie bezpieczeństwo, a otrzymałem właśnie bezimienne pismo od tajnego towarzystwa, grożące mi pozbawieniem życia za poświęcenie się Rosyi, sprawie rosyjskiej i używanie języka rosyjskiego. Musi być panu wiadomem, jak dla mnie są usposobieni katolicy, zwłaszcza — p a n y, a czego dowodem jest pogrzeb majora Rusieckiego — w czem, z boleścią muszę powiedzieć, oprócz katolików łączą się: służba moja, organiści, nawet miejscowa policya — na co znajdują się dowody". Nieborak (?) wszędzie widzi mścicieli swych niecnych czynów Takim to nizkim figurom jest w przeważnej części oddana piecza duchowna nad kresową ludnością, której na Białej Rusi (w gubernii mińskiej, mohylewskiej i witebskiej) jest wyżej 600.000 — a w witebskiej dosięga nawet czwartej części ogólnej ludności".

═ *Gazeta polska* w Berlinie zamieściła w kilku numerach rozsądny i gruntowny artykuł o polityce polskiej w zaborze pruskim, zanadto tylko pobłażliwy dla polityki ugodowej. W niektórych punktach *Gazeta* wypowiada zdania, które niejednokrotnie pismo nasze starało się uzasadnić. Oto co np. mówi o polityce protestów:

„Widzieliśmy, że polityka protestów zaniechaną była w czasie rozkwitu t. zw. polityki ugodowej, a ponieważ ta polityka ugodowa nie przyniosła ani w oczach zapalonych jej przeciwników, ani w oczach przychylnych dość namacalnych korzyści, więc tłomaczy nam to poniekąd fakt, iż krótkowidzący politycy nasi, nie widząc lepszej drogi przed sobą, wrócili się na dawne tory.

Zapomnieli jednak przytem, że nieudany rozwój polityki ugodowej nie wymaga bynajmniej powrotu do dawniejszego sposobu, którego bezowocność przecież także zdawna znaną. Jeżeli przytem twierdzi wielu, że polityka ugodowa nas upokarzała, więc precz z nią — toć nie powinni na miejsce jej zabierać się znowu do innej taktyki, która nas niemniej, a może i więcej jeszcze wobec wrogów upokarza. Bo czyż to godności narodowej i dumie narodu krzepkiego a żywotnego odpowiada, aby posłowie jego przy każdej sposobności na niesprawiedliwość się skarżyli, i tylko s k a r ż y l i, wygłaszając protesty bezskuteczne.

Jeden objaw świadomości narodowej ludu naszego na Śląsku, w Księstwie lub w Prusach przy wyborach i walkach politycznych, jeden objaw żywotności naszej w walce ekonomicznej jest skuteczniejszym, prawdziwszym protestem przeciw dążeniom germanizacyjnym, jak dziesiątki mów, wygłaszanych wedle znanej swoim i Niemcom metody, wywołujących uśmiech politowania na usta Niemców, a nam nie przynoszących zaszczytu, ani też wzmocnienia narodowej świadomości wśród ludu.

Nie zgadzamy się jednak na wniosek, nie poparty żadnymi dowodami, że bądź co bądź w czasie panowania t. zw. polityki ugodowej nabrało Koło polskie znaczenia, że liczono się z niem poważnie.

PRZEGLĄD PRASY OBCEJ.

= Postępowe czasopismo czeskie *Rozhledy* zamieściło w Nr. 4 i 5 z r. b. obszerny artykuł pióra p. A. Vzora p. t. »Rosyjska szkoła średnia w Polsce«. Jest to rzecz oparta na pracy, drukowanej w drugiem półroczu r. z. w *Przegl. wszechpolskim*, z której autor czeski korzystał w rękopisie. Artykuł podaje z kolei dzieje rusyfikacyi szkoły polskiej, rys wychowania umysłowego, moralnego i fizycznego, mówi o stosunku naszej młodzieży do szkoły urzędowej, wreszcie, sumując rezultaty jej działalności, kończy:

„U nas nieraz słyszałem: prawda, Rosya skrzywdziła Polaków, ale trzeba się poddać, wymaga tego łączność Słowiańszczyzny. Skrzywdziła — a czyż dzisiaj nie krzywdzi? Czyż ten system, gubiący młodzież, nie jest stokroć gorszy od walki krwawej? Czyż ta demoralizacya nie jest trucizną, nieustannie zadawaną narodowi? A szkoła średnia, jak to już wyżej zaznaczyłem, jest jedną tylko dziedziną działalności pracowników wschodniej kultury — prócz niej jest wiele innych, działalność ta idzie na wszystkich polach życia społecznego."

Wogóle trzeba zaznaczyć, że od pewnego czasu odbywa się w Czechach zwrót dla nas korzystny. Nie mamy przez to na myśli najświeższej zmiany w stanowisku młodoczechów, którzy, kierując się interesami chwili, coraz życzliwsze zajmują stanowisko względem hr. Badeniego, a stąd i względem polskiego społeczeństwa, coraz mniej manifestują się ze swymi zachwytami nad Rosyą i nawet przeciw niej się wypowiadają. Sentymenty stronnictw politycznych, zwłaszcza tak praktycznych, jak młodoczeskie — to pogoda bardzo niestała, zmieniająca się przy lada powiewie. Obok tego manewru politycznego odbywa się istotnie zwrót głębszy, który zawdzięczamy nowym poglądom, wniesionym przez młodsze pokolenie w życie. Zaznaczył się on nazewnątrz już w r. 1890 podczas zjazdu postępowej młodzieży słowiańskiej, na którym obecna młodzież polska doznała od Czechów, stanowiących główny zastęp uczestników zgromadzenia, nader życzliwego przyjęcia i znalazła u nich poparcie dla wszystkich swoich wniosków. Z tych to młodszych pokoleń wchodzą na pole życia publicznego ludzie, mający jakąś szerszą ideę, kierujący się więcej sprawiedliwością i naturalnemi sympatyami, patrzący dalej w przyszłość, a stąd zdolniejsi do poznania, po której stronie sprzymierzeńców należy szukać. Może zdołają oni z czasem wywołać gruntowny przewrót w pojęciach społeczeństwa czeskiego o stosunkach rosyjsko-polskich.

= W sprawie wydanego kapelom wojskowym zakazu grywania melodyi polskich i drukowania programów koncertowych w języku polskim, zamieszcza urzędowy *Reichsanzeiger* następujące wyjaśnienie.

„W ostatnim czasie rozpisywały się rozmaite dzienniki różnych odcieni politycznych, jakoby ministerstwo wojny zakazało muzykom wojskowym grywania niektórych melodyi polskich, oraz drukowania programów koncertowych równocześnie w niemieckim i polskim języku, a wszystkie omawiają tę sprawę ze swego stanowiska politycznego. Wobec tego możemy zapewnić, że ministerstwo wojny żadnych tego rodzaju zakazów, ani przepisów nie wydało, ponieważ prawo takie przysługuje jedynie komendanturom".

Odporne zachowanie się społeczeństwa polskiego oddziałało więc nietylko na rozsądniejszą część prasy niemieckiej, ale i na sfery rządowe. *Posener Zeitung* tak sprawę tę przedstawia.

„Rząd teraz, kiedy się przekonał, że zakaz chybił celu, umywa ręce i niechce mieć z tą sprawą nic do czynienia. Spodziewać się należy, że zabiegi, podjęte przez zarząd ogrodu zoologicznego, odniosą skutek pożądany".

Z OBCEGO ŚWIATA.

= *Wniosek duński w sejmie pruskim.* Pisaliśmy już poprzednio, że poseł duński Johansen postawił w sejmie pruskim wniosek o zaprowadzenie w szkołach ludowych w Szlezwigu północnym nauki czytania i pisania po duńsku i że wniosek ten podpisało Koło polskie. 14 kwietnia Johansen wygłosił w sejmie mowę, w której przedstawił zmiany kolejne w szkolnictwie ludowem w Szlezwigu. W r. 1871 wydano pierwsze rozporządzenie o języku niemieckim w szkole, w r. 1878 stał się ten język wykładowym, ale uczono dzieci i po duńsku. Dopiero w r. 1888 zniesiono zupełnie naukę języka duńskiego. Teraz tylko religii uczą po duńsku. Nietylko ludność przeciw temu protestuje, ale nawet 77 pastorów podało do ministra oświaty prośbę, żeby nauki języka duńskiego nie usuwano, dodać zaś trzeba, że ci pastorzy są w znacznej większości Niemcami.

W imieniu rządu odpowiedział na mowę Johansena radca Köpke, który oświadczył, że rząd nie zgodzi się nigdy na zaprowadzenie nauki języka duńskiego. System obecnie stosowany daje wyborne rezultaty. Duńczycy powinni poprzestać na tem, co mają, i wdzięczni być rządowi, że dzieci uczą się religii w języku ojczystym. Wniosek Johansena ma na celu tylko wywołanie szkodliwej agitacyi.

Narodowy liberał Jürgensen, (jak wskazuje nazwisko, zniemczony Duńczyk) zażądał, żeby sejm przeszedł nad wnioskiem Johansena do porządku dziennego. Sprzeciwił się temu poseł Rintelen z centrum, ale marszałek sejmu Köller poddał pod głosowanie żądanie Jürgensena. Wtedy zabrał głos p. L. Czarliński, zaprotestował przeciw pogwałceniu praw mniejszości i postawił wniosek, żeby posłowie głosowali imiennie. Wniosek ten upadł, ponieważ nie poparło go, jak wymaga ustawa, 50 posłów. Zawinili w tej sprawie posłowie polscy, bo chociaż podpisali wniosek, nie bronili go energicznie. Na posiedzeniu było trzech tylko posłów polskich (pp. Czarliński, Szczaniecki i ks. Wawrzyniak). Nic dziwnego, że przedstawiciele innych stronnictw opozycyjnych, widząc taką obojętność wnioskodawców, sądzili, że sprawa nie ma wielkiej wagi i p. Czarlińskiego nie poparli. Tak przynajmniej — szczerze czy nie szczerze — tłómaczą się posłowie z centrum i przyznać trzeba, że poniekąd mają słuszność.

= *Zwrot w obozie młodoczeskim.* Znany poseł młodoczeski Eim niedawno zdawał sprawę ze swej działalności i wygłosił mowę, charakteryzującą poglądy polityczne większości stronictwa młodoczeskiego. P. Eim zaznaczył, że za rządów hr. Badeniego Czesi dużo już zyskali: uznanie praw języka czeskiego na Śląsku w urzędach politycznych i kameralnych, postanowienie, żeby wszyscy urzędnicy znali język krajowy, znaczne zasiłki dla szkół czeskich i instytucyi naukowych, na regulacyę Wełtawy i asanacyę Pragi i t. d.

W niczem nie zmieniliśmy mówił p. Eim swego opozycyjnego stanowiska i nic dla rządu nie uczyniliśmy i nie uczynimy dopóty, aż z narodem czeskim nie przestaną obchodzić się po macoszemu. Nie chcemy jednak prowadzić opozycyi dla opozycyi i walki dla walki. Nie chcemy walki bez końca. Przyznaję, że czułbym się szczęśliwym, gdybym dożył tego i mógł się w czemkolwiek przyczynić do powrotu narodu czeskiego do większości. Nie możemy już dzisiaj schować miecza do pochwy, ale musimy pracować, aby ta chwila nadeszła, inaczej nie postawią nam nigdy przyzwoitych warunków pokoju. Przewrotu takiego nie można oczywiście dokonać odrazu; jak w życiu prywatnem, tak i w życiu publicznem nie można od razu przejść z największej nieprzyjaźni do przyjaźni. W takiem stadyum

przejściowem znajdujemy się dzisiaj. Skoro rząd zaprzestał nas gnębić czynami nieprzyjacielskimi, nie należy go niepotrzebnie drażnić i wrogo przeciw nam usposabiać. Naród taki, jak nasz, nie wytrzyma takiego nieustającego rozdrażnienia i egzaltacyi. Kto nieustannie szamoce się i krzyczy, ochrypnie i opadnie bez sił. Taka reakcya musiałaby nastąpić i w naszym narodzie. Nie szamocemy się, bo nas teraz nie drażnią. W sprawie reformy wyborczej stoi klub młodoczeski wiernie przy zasadzie ogólnego i bezpośredniego prawa wyborczego. W tym celu przedłożył też osobny wniosek w parlamencie, który wszakże nie może liczyć na przyjęcie. Młodoczesi przeciwni są projektowi reformy wyborczej hr. Badeniego, uznają jednak, że jest on z wszystkich dotychczasowych najlepszy, gdyż do pewnego stopnia uznano w nim zasadę ogólnego i bezpośredniego głosowania i rozszerzono prawo wyborcze dla trzech i pół miliona ludności, a liczbę posłów czeskich powiększono o 16, podczas gdy najniebezpieczniejsza dla narodu czeskiego centralistyczna lewica niemiecka z próżnemi wychodzi rękami. Czyż wobec tego mamy przyczynić się do upadku reformy wyborczej?

Dopóki nie będzie przeprowadzoną sprawiedliwa reforma wyborcza, nie można marzyć o urzeczywistnieniu czeskiego prawa państwowego. Większość klubu młodoczeskiego jest zdania »ber, co ti davaji« i nie ma odwagi powiedzieć o trzeciem czytaniu projektu »nie«, skoro chodzi o przyznanie prawa wyborczego $3^1/_2$ milionom ludzi. Nawet, gdyby można przez owe »nie« obalić rząd, nie uczyni tego, gdyż wtedy przyszedłby do steru nie lepszy rząd, tylko gorszy.

Mowę swoją zakończył p. Eim znamiennem oświadczeniem, wystosowanem pod adresem pp. Waszatego, Brzorada i innych »moskalofilów« czeskich:

»Nie uganiałem się nigdy za popularnością i tyle tylko mogę powiedzieć, że dziś, gdy na widnokręgu politycznym ukazała się możliwość współdziałania z Polakami, nie wygłaszałem przeciw nim mów dwugodzinnych i nie pełzałem przed rządem rosyjskim«.

Oświadczenie to przyjęli wyborcy oklaskami i jednomyślnie dali p. Eimowi wotum zaufania.

= *Wyprawa rosyjska do Abissynii.* Dzienniki rosyjskie oburzają się na rząd włoski, że odmówił przepuszczenia przez swoje terytoryum oddziału Czerwonego Krzyża, który miał jakoby pielęgnować rannych i chorych Abisyńczyków. Część wyprawy, która już przed tą odmową wypłynęła z Odessy, wracać musi z Aleksandryi, część zaś sprobuje przedostać się do Abissynii przez terytoryum kolonii francuskiej. Ale droga to długa i wielce uciążliwa i wyprawa nie zdąży na czas oznaczony, a może nawet zatrzyma się w połowie drogi. Rząd włoski postąpił bardzo właściwie, odmawiając pozwolenia, bo oddział rosyjski, jak to już pisaliśmy w poprzednim numerze na podstawie informacyi dzienników i otrzymanego przez nas listu, składał się w znacznej części z oficerów i podoficerów-instruktorów, udających służbę sanitarną.

Włosi od początku patrzyli podejrzliwie na tę filantropię rosyjską i zdecydowali się dopiero na krok stanowczy, kiedy zamieszczone naprzód w niektórych dziennikach polskich wiadomości, powtórzone następnie przez pisma wiedeńskie i włoskie, odsłoniły prawdziwy charakter i cel wyprawy. Do skarg na okrucieństwo włoskie dołączą zapewne dzienniki rosyjskie wyrzekania na »intrygę polską«, która skutecznie przyczyniła się do zniweczenia tych humanitarno-militarnych planów.

= *Traktat rosyjsko-chiński.* Wychodzący w Szangaju dziennik angielski *North China Daily News* zamieścił tekst traktatu, świeżo jakoby zawartego między Rosyą i Chinami. Wiarogodność dokumentu jest bardzo prawdopodobną i nabycie jego nie było zapewne nawet trudnem, bo w Pekinie niżsi urzędnicy i słudzy mają dostęp do archiwów. Niedawno wykryto kradzież mnóstwo drobnych przedmiotów z tajnych pokojów pałacu cesarskiego. Traktat w dosłownem niemal streszczeniu tak brzmi:

»Wielki cesarz chiński, nadzwyczaj wdzięczny za przyjacielskie pośrednictwo cara rosyjskiego w sprawie odstąpienia półwyspu Liaotung przez Japończyków oraz w sprawie pożyczki na zapłacenie kosztów wojennych, starać się będzie o okazanie Rosyi swej wdzięczności i w tym celu zawiera traktat z Rosyą. W razie gdyby Rosya weszła w zatarg z jakiemkolwiek azyatyckiem mocarstwem, Chiny popierać ją będą wszelkiemi siłami. W tym celu pozwalają Chiny Rosyi zawijać do portów wzdłuż całego wybrzeża chińskiego, aby w tych portach mobilizować swą flotę lub naprawiać okręty, uzupełniać zapas węgla itp. Gdyby Rosyi zagrażać miało poważniejsze niebezpieczeństwo, Chiny pozwalą jej pod ręką rekrutować w Chinach potrzebne siły, kupować konie, najmować kulisów itp. Dziać się to jednak powinno w tajemnicy i ma być uważane jako tajna pomoc. W razie reklamacyi oświadczą Chiny, że opierać się nie mogą Rosyi, ponieważ Rosya silniejszą jest od Chin. Dozwolonem także będzie Chinom posunąć jeszcze dalej swą przyjaźń ku Rosyi, stanąć otwarcie przy jej boku i prowadzić wojnę z jej przeciwnikami, lecz o tyle tylko, o ile pozwolą na to okoliczności. Obecnie porty rosyjskie, aczkolwiek liczne, z tego powodu są niekorzystne, że podczas miesięcy zimowych zamarzają i tem samem tamują żeglugę. Fakt ten mógłby w czasie wojny stać się dla Rosyi fatalnym. Ponieważ jednak cesarz chiński wdzięczny jest Rosyi za jej przyjacielską pomoc, przeto pragnie wspierać swego sojusznika i pozwala Rosyi używać portu Artura dla jej okrętów i siły lądowej. Gdyby jednak z tego powodu wywiązały się trudności z innemi mocarstwami, to Rosya zamiast portu Artura otrzyma od Chin port Kianszu w prowincyi Szantung. Gdyby zaś Kianszu nie odpowiadał celom Rosyi, wówczas wolno jej będzie wybrać jakikolwiek port inny wzdłuż wybrzeża prowincyi Kiangsu i Czeksang. W celu zaś uniknięcia możliwych, wynikających z nieświadomości zawartego traktatu zatargów pomiędzy lekalnemi władzami a Rosyanami, wydany będzie odpowiedni tajny edykt do pojedyńczych wicekrólów i gubernatorów, którzy znów ze swej strony pouczać mają swych podwładnych, aby ruchom Rosyi nie stawiali żadnych trudności. W razie zawikłań Chin z innemi mocarstwami, Rosya starać się będzie o usunięcie tych trudności. Gdyby jednak starania te nie doprowadziły do upragnionego celu, Rosya zobowiązana jest do czynnej pomocy, aby w ten sposób wzmocnić jeszcze bardziej sojusz, istniejący pomiędzy dwoma temi mocarstwami. Chiny stawiać dalej nie będą żadnych przeszkód rosyjskim oficerom na wschodnich granicach swych posiadłości, ani żegludze na rzece Jalu i jej rzekach pobocznych. Skoro kolej sybiryjska będzie ukończona, pozwolą Chiny Rosyi pobudować linią poboczną przez Heilung Czang, Kirin i Mandżuryą do Talienwan, albo jakiegokolwiek innego punktu końcowego, który wybierze sobie Rosya. Kontrolę nad tą linią wykonywać będą wspólnie Rosya i Chiny, po 15 latach jednak przysługiwać będzie Chinom prawo wykupu tej linii po cenie kosztu i objęcia jej wyłącznie w swe posiadanie. W celu zapobieżenia szkodom, jakie by wyrządzić mogły tej linii kolejowej inne współzawodniczące mocarstwa, pozwolą Chiny Rosyi zająć i ufortyfikować jedną z wysp, położonych w pobliżu Talienwanu. Gdyby w przyszłości wybuchł zatarg pomiędzy Chinami a Japonią z powodu Korei, Chiny pozwolą Rosyi atakować zachodnie wybrzeże Korei od strony rzeki Jalu. W obecnem przesileniu woj-

skowa organizacya Chin posiada największe znaczenie. W tym celu otrzymają Chiny od Rosyi kilkuset oficerów, którym poruczone będzie wyćwiczenie stutysięcznej armii chińskiej«. Podobny traktat miała zawrzeć Rosya i z Koreą. Dziennik angielski może dodał cokolwiek do oryginalnego dokumentu dla poruszenia opinii publicznej, ale istnienie traktaktu, zdaniem prasy angielskiej, nie ulega wątpliwości. Rosya wciąż wysyła wojska do Syberyi wschodniej, niedawno np. z Odessy odpłynęło 1600 ludzi, i z miejscowych ludów mongolskich tworzy lekkie pułki piesze i konne. Z powodu koronacyi i zamierzonych podróży cesarza, jak również z powodu nieukończeuia przygotowań urzeczywistnienie planów zaborczych na dalekim wschodzie musi być odroczone, ale w przyszłości, może bardzo blizkiej nastąpią tam niewątpliwie nowe i nieoczekiwane wypadki.

KRONIKA BIEŻĄCA.

= W Odesie miejscowy naczelnik żandarmski, pułkownik Piramidow złożył zarządowi biblioteki publicznej spis książek cenzuralnych ale pisanych w duchu radykalnym i socyalistycznym — z prośbą o komunikowanie mu nazwisk osób, które o te książki będą się pytać. Zarząd nie zgodził się na tę rolę szpiegowską.

= Muzyce wojskowej w Toruniu zabroniono widocznie grać na zabawach polskich, bo od Towarzystwa czeladzi katolickiej, które zamówić ją chciało, zażądano poświadczenia urzędowego, że jest stowarzyszeniem wyznaniowem a nie narodowo-polskiem.

= Po koronacyi Mikołaj II. zwiedzić ma Kijów, gdzie nastąpi odsłonięcie pomnika Mikołaja I. Pomnik ten zaczęto stawiać w r. 1871, ale na ukończenie budowy zabrakło funduszów. Dopiero w ostatnich czasach pomyślano znowu o uwiecznieniu pamięci Mikołaja I., dzięki hojnym ofiarom, które na ten cel złożyli: Rusin Tereszczenko, Polak L. Jankowski i Żyd Brodzki. Zapewne, powiadają *Letuczije listki*, z których wiadomość tę bierzemy, p. Tereszczenko chce okazać wdzięczność za życzliwość rządu dla literatury ukraińskiej, p. Jankowski za „*usmirenie miatieża*“, a p. Brodzki za ograniczenie prawa osiedlania się Żydów.

= Istniejące w Poznaniu Towarzystwo pomocy naukowej dla biednych dziewcząt polskich miało w r. ub. 17,944 mar. 88 f. dochodu. Zapomogi przyznano 86 dziewczętom w sumie 10635 m, 21 f. Ze stypendystek 17 kształciło się na pensyi wyższej, inne zaś przeważnie w zawodach praktycznych.

= Zamiar przeniesienia z Berlina do Poznania socyalistycznej *Gazety robotniczej* spełzł na niczem, bo żaden z właścicieli domów w mieście i na przedmieściach nie chciał wynająć mieszkania na drukarnię i redakcyę tego pisma

= Hakatyści zaczęli werbować członków i na Śląsku; Nowiny raciborskie twierdzą że przystąpił do tego stowarzyszenia poseł raciborski Segeth, który w mowie wyborczej zapewniał, że jest pochodzenia polskiego.

= Założona niedawno w poznaniu poczta prywatna „Hanza“ na żądanie pism umieściła polskie napisy na skrzynkach.

= Od 1893 do 1895 r. zbudowano na katolickiej Żmudzi (gub. kowieńska) 12 cerkwi prawosławnych. Niektóre parafie prawosławne, hojnie uposażone, są bardzo małe; w Janowie do parafii należy zaledwie 100 osób, w Kozaczynie 137, w Krasnogórce 323 i t. d.

= Przed sądem przysięgłych w Krakowie stanęli dwaj studenci uniwersytetu jagiellońskiego, Gądziński i Cyga, oskarzeni o to, że na zgromadzeniu przedwyborczem wzywali włościan do kroków nieprzyjaznych przeciw szlachcie i duchowieństwu. Gądzińskiego, któremu prokurator zarzucał, że powiedział: „w r. 1846 chłopi za mało wyrżnęli i wywieszali szlachty“ — skazano na miesiąc więzienia, Cygę zaś uwolniono. Główny świadek oskarżenia inżynier p. Godzieliński oświadczył w sądzie, że nie donosił na owych studentów, tylko „z poczucia obywatelskiego opowiedział staroście, co widział i słyszał“.

= Deputacya Śląska pod przewodnictwem ks, Świeżego była w Wiedniu u hr. Badeniego i ministra oświaty Gautscha i otrzymała obietnice, że gimnazyum w Cieszynie będzie miało wkrótce prawa zakładu publicznego.

= Rada miasta Lwowa wybrała komitet, który ma się zająć urządzeniem obchodu dwóchsetnej rocznicy zgonu Jana Sobieskiego, przypadającej w tym roku, w d. 17 czerwca.

= Na raporcie znanego Klingenbarga o stanie guberni kowieńskiej, przy zdaniu: „tylko rozwój wykształcenia ludowego może skutecznie zaradzić szkodliwemu wpływowi duchowieństwa katolickiego“ Mikołaj II zrobił dopisek własnoręczny: „koniecznо“ (niezawodnie).

= Rząd rosyjski przedsiębierze rozmaite środki ostrożności z powodu koronacyi. Pisma śląskie donoszą o niezwykle dokładnem sprawdzaniu pasportów i rewidowaniu rzeczy. W Moskwie policyanci zatrzymują przechodniów na ulicy i pytają o pasporty.

= Hr. Sobiesław Mieroszewski, b. poseł sejmowy wydał broszurę „w sprawie reformy dziennikarstwa“. Prasę uważa p. hrabia za jednoznaczną z judaizmem i socyalizmem, proponuje więc wydawanie tylko dwóch gazet: jednej rządowej, drugiej krajowej. Gdyby to na razie było niemożliwem, radzi p. Mieroszowski upaństwowienie ogłoszeń, podwyższenie stempla dziennikarskiego, wynoszącego dziś centa od numeru i zniesienie drukarń prywatnych.

= Towarzystwo polsko-katolickie „Zgoda“ w Olsztynie na Warmii ma ciągle sprawy w sądzie z władzami policyjnemi. Podczas jednej z takich spraw przewodniczący w sądzie oświadczył, że towarzystwo jest polskiem więcej jest politycznem. Policyi pomagają władze miejskie. Robotnikom, którzy są przez miasto najmowani, zapowiedziano, że stracą robotę, jeżeli do „Zgody“ należyć będą.

= W Kurytybie, w stolicy stanu Parana, tworzy się obecnie oddzielna parafia polska, na którą pozwolenie już od biskupa otrzymano. Proboszczem będzie ks. Michał Słupek bernardyn, rodem z Galicyi.

= Dr. Chociszewski z Gniezna ogłosił zapowiedź wydawnictwa p.t. „Kronika śląska“. Książka ta będzie zawierała opis Śląska, pamiątki przeszłości kraju i jego dzieje i przeznaczona będzie przedewszystkiem dla ludu śląskiego. Dotychczasowe prace p. Chociszewskiego świadczą, iż umie on przemawiać do serc i umysłów ludu, można tedy być pewnym wielkiego pożytku z zapowiedzianego wydawnictwa.

= D. 27 kwietnia rozpoczął się przed izbą sądową warszawską proces przeciw byłemu policmajstrowi m. Radomia, rotmistrzowi Kiryczence, oskarzonemu o nadużycia służbowe. Kiryczenko wsławił się w roku zeszłym udziałem pośrednim w operacyach zorganizowenej szajki złodziejskiej.

= Redakcya humorystycznego pisma *Mucha* w Warszawie stała się widownią zajścia, zakończonego tragicznie śmiercią jednego z uczestników. Władysław Grajnert, dziennikarz, syn znanego pisarza ludowego, autor kryminalnej powieści p. t. „Zbrodniarz“ obrażony na redaktora *Muchy* za wierszyk drwiący z niego i z jego powieści, oraz za odmowę drukowania jego odpowiedzi, napadł na redakcyę i rzucił się na redaktora *Muchy*, p. Buchnera. Ten w obronie dwa razy strzelił z rewolweru. Ciężko raniony Grajnert zmarł.

= Redaktor socyalistycznej *Arbeiter Zeitung* skazany został przez sąd w Wiedniu na tydzień więzienia lub 200 złr. kary za mowę o wyborach galicyjskich, wygłoszoną w r. 1895 P. Adler twierdził, że kilkakrotnie chciał zmusić rząd do wyświetlenia sprawy wyborów przed sądem przysięgłych, ale trzy wytoczone mu procesy wstrzymano a oskarżono go o drobne wykroczenie.

= Polskie Towarzystwo naukowe w Toruniu z powodu 70-tej rocznicy urodzin K. Nitschmana, tłómacza arcydzieł literatury polskiej na język niemiecki — wystosowało do niego adres.

= Towarzystwo H. K. T. przenosi swoją siedzibę główną do Berlina, gdzie ma około 1000 członków.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Dr. Wiktor Ungar.**